



GIĘTKOŚĆ
i
ODPORNOSC
OTO
DWIE ZALETY
OPON CIĘŻAROWYCH
MARKI

Englebert



Phot. Atlantic

Widok z Miami na Florydzie

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Każdy sezon ma swoje odpowiedniki w chorobach i niedokładnościach cery. W jakiej postaci akcentuje się lato na pięknych twarzyczkach i rączkach, o tem Panie doskonale wiedzą.

Kącik niniejszy będzie sezonowym poradnikiem, w jaki sposób przed owemi defektami się ustrzec, lub czem je skutecznie zwalczać.

Włoski olejek orzechowy. — Przy modnem obecnie opalaniu się, polecamy *olejek orzechowy*, który, strzegąc przed słonecznymi porażeniami skóry, sprzyja jednocześnie szybkiemu przybieraniu pożądanego koloru „ocre”.

Krem przeciw piegom, plamom i opaleniznie. — Na żadną chyba dolegliwość niema tak wielkiej ilości specyfików, jak na piegi, plamy i opaleniznę. Wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą poczytniejszą gazetę, a przekonamy się, że z chwilą, gdy słońce zacznie przygrzewać, prawie dziesiąta część ogłoszeń ofiarowuje radykalne środki, które w większości wypadków całkowicie zawodzą. Jednym z najbardziej wypróbowanych i najlepszych środków przeciw omawianym dolegliwościom jest krem „Preciosa”, który, działając łagodnie, nie powoduje żadnych opryszczeń, ani zaognień skóry. Sposób użycia kremu „Preciosa” jest następujący: smarować twarz, szyję i wogóle miejsca nawiedzone piegami, plamami lub opalenizną cienko „Preciosą” na noc; rano twarz umyć otrąbkami Abaridowemi bez mydła. Gdyby okazało się lekkie zaczerwienienie skóry, trzeba przed użyciem „Preciosy” posmarować twarz cienką warstwą wazeliny, a na wierzch dopiero „Preciosą” i grubo przypudrować wybielającym pyłkiem „Juvenia Candida”.

Środek przeciw poceniu się rąk, pach i nóg. — Prawdziwą plagą, w lecie szczególnie, jest pocenie się rąk, nóg i pach. Wszystkie znane dotychczas środki tylko w części spełniają zadanie, gdyż, podawane w postaci proszku, nie mogą być użyte, np. do rąk, ponieważ proszek spadnie, lub do pach, gdzie także się nie utrzyma, i jedynie może mieć zastosowanie do nóg. Specyfik „Eureka” zawiera płyn i puder. Płynem, nasączonym na wate, zwilżamy pachy, ręce i nogi, a następnie pudrując lekko pudrem „Eureka” — osiągamy cel całkowicie. Przy dłuższem używaniu „Eureka”, możemy zupełnie pocenie usunąć.

M-me Ercedès

Treść Numeru 73-go

	<i>Str.</i>
<i>Bronisław Stefanowski:</i>	
Jedziemy na lato (10 ilustracji)	3—12
<i>J. Ginsbert:</i>	
Ostatni triumf króla (8 ilustracji)	13—24
Ilustracje	25—28
<i>Zygmunt Troniewski:</i>	
Serce profesora (6 ilustracji)	29—38
<i>J. Stażeński:</i>	
Bez kiks (9 ilustracji)	39—48
<i>Nemo:</i>	
Pożary na wodzie (5 ilustracji)	49—56
<i>Anna Gayerówna:</i>	
Zwodnicze kamienie (2 ilustracje).	57—60
Ilustracje	61—64
<i>Best:</i>	
Wieża z żelaznej koronki (5 ilustracji).	65—72
<i>Wacław Husarski:</i>	
Kaprysy sławy (8 ilustracji).	73—82
Humor (1 ilustracja M. Walentynowicza)	83—84
Na trampolinie wdzięku (10 ilustracji)	85—96
Ilustracje	97—100
<i>Feliks Teodorowicz:</i>	
Jak się robi pieczarki (2 ilustracji)	101—108
<i>Michał Derenicz:</i>	
Hinduski kołowrotek (3 ilustracje)	109—114
Widowisko na widzowni (18 ilustracji)	115—122
<i>Jerzy Borycki:</i>	
Lato ekranowych bogów (8 ilustracji)	123—132
Ilustracje	133—136
<i>Wł. Wasilewska:</i>	
Los ciotki Banany (4 ilustracje K. Mackiewicza)	137—154
Rozrywki umysłowe (4 ilustracje)	155—160

Okladkę kolorową wykonał J. Poliński

Adres Redakcji i Administracji

„N A O K O Ł O Ś W I A T A”

Warszawa, Zgoda 12, tel. 122-14

Telefon ekspedycji 104-32

Redaktor przyjmuje interesantów w *czwartki i soboty*
od godz. 13 do 15

Administracja czynna codziennie od godz. 8 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi
6 zł. 50 gr., zagranicą 10 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.

NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 74

CZERWIEC 1930 R.



W promieniach letniego słońca

Jedziemy! na lato!

Napisał:

Bronisław Stefanowski

Słońce zaczyna grzać dobrze, coraz bliżej lato. Zaczyna się okres urlopów i wakacji, setki tysięcy obywateli sporządza ad hoc projekt budżetu specjalnego i zaczyna myśleć o tem, gdzieby w tym roku wyjechać na wczasy?

Ze względów czysto zasadniczych, należy zastanowić się wtedy nad wieloma zagadnieniami, które się wiążą ze sobą bezpośrednio, a więc, należy uzgodnić ilość posiadanego czasu z ilością preliminowanych funduszów, a wtedy łatwo rozwiąże się kwestja wyboru miejsca i środków lokomocji.

Cóż bowiem łatwiejszego, jak wyrwać z oprawnej w skórę książeczki bladoniebieski czek National-Banku, zająć wygodne miejsce w kabinie luksusowego samolotu, przelecieć — non stop do Havru lub Cherbourg, zatoczyć kilka majestatycznych kół nad drzemającymi w porcie transatlantykami, wybrać sobie najbardziej luksusowy, np. Parys — i w pięć dni potem pozdrawiać Statuę



Dokąd jechać?



*Palace Hotel, Hotel
Regina, Hotel Ritz —
wszędzie walizy te
już były*



Wolności. Dalsza marszruta ułoży się sama: Expressem Railway Pacific, dwa dni w słonecznym Frisco, potem jachtem na Hawaj, które będzie metą.

Taka eskapada jest miła i dostatecznie urozmaicona, posiada tylko jedną małą wadę, że przeciętny śmiertelnik odbywa ją w sennych marzeniach.

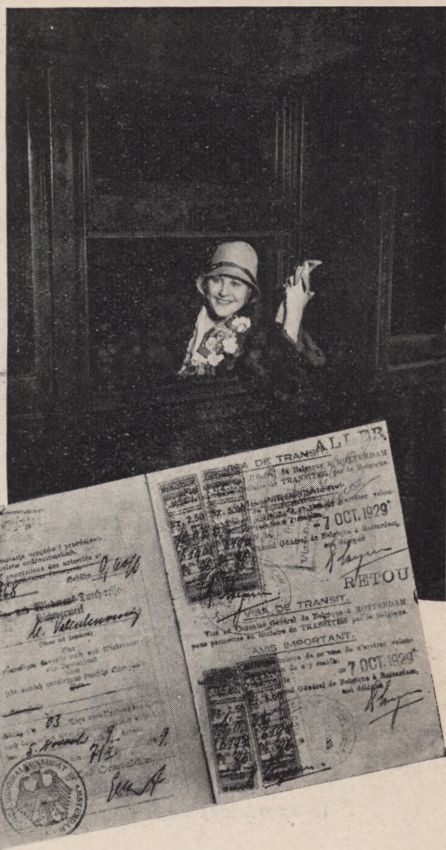
Jeżeli ktoś jeździ dużo — i brak mu dobrego pomysłu, gdzie w tym roku uciec od miasta, polecam mu doskonały sposób: należy od swego przyjaciela globtrottera pożyczyć na jeden dzień walizkę, upstrzoną etykietami zagranicznych hoteli i pensjonatów.

Taka walizka jest lepszą, niż nieśmiertelny przewodnik Cooka; daje milczące świadectwo, że jej właściciel przeszedł wszelkie hotelowe rozkosze bez wybitniejszych przygód i że wyszedł zwycięsko z walk z portjerami całego świata.

Łatwo znaleźć miejscowość, co ma dostatecznie dźwięczną nazwę, jedna, druga i trzecia wiza — i żegnaj, Warszawo, na całe lato!

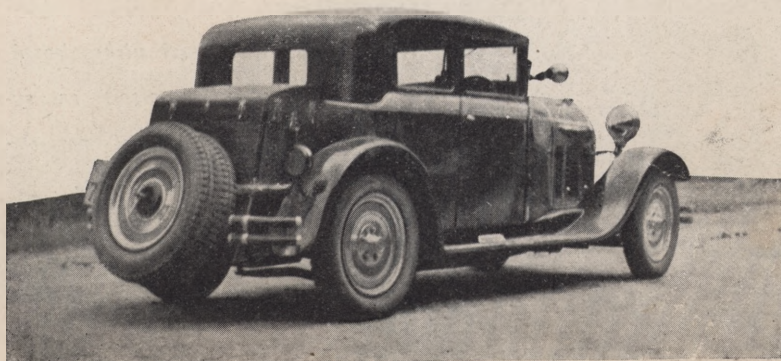
My, szczury lądowe, kochamy się w morzu, prawie zawsze celem naszych wakacyjnych pielgrzymek są piaszczyste brzegi słonej wody, i od Bałtyku po szerokie plaże wodnych kąpielisk nad Antlantykiem rozbrzmiewa unisono język polski.

Może ma największy bezsprzecznie urok, i dostarcza nam taniej obfitości wrażeń, tak



*Paszport i wizy w porządku —
train bleu i w drogę*

rozległą gamę przyjemnych chwil, że nie dziwię się zupełnie tysiącnym rzeszom, które dążą do Jastarni, na Hel, do Gdyni z ta-



*Każdy kilometr
zbliża nas do
morza...*



W modnej nadmorskiej kawiarni...

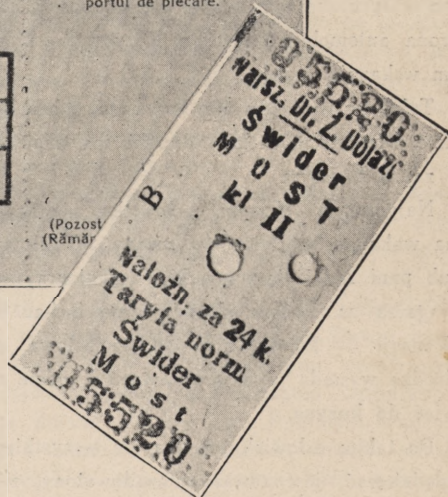
w sportowej żagłowni...

...i w chłodnej wodzie



*Nie grozi niebezpieczeń-
stwo zatonięcia ani sy-
naczkowi, ani pomysło-
wemu papie*

POLSKIE LINIE LOTNICZE „LOT” Sp. z o. o. LINIILE AERIELE POLONE „LOT”		P. L. L. „LOT”	
Nr. <u>1</u>	Cena <u>200</u> /p.	Nr. <u>1</u>	No. <u>1</u>
na lot Warszawa-Bukareszt		lot z Warszawy	
vol — pentru zborul		(vol de) — Zborul dela	
przez Lwów		do Bukareszt	
par — prin		(a) — până la	
Warunki podróży na odwrotnej stronie Règlement de voyage au verso. Regulamentul călătoriei în dosul biletului			
Bilet ważny: (Valable pour) Biletul este valabil:		Data i pieczęć biura sprzedaży (Agence): Data și stampila agenției	
Data: Date:—Data: 2/VII 1930		Data i pieczęć kierownika ruchu P. L. L. „Lot” w porcie odlotu:	
Odjazd samochodu (Départ de l'autobus) Plecare avionului:		Data și stampila sefului de mișcare P. L. L. „Lot” din portul de plecare.	
godz. (h.) Ora.		(Pozost (Rămân	
Odlot godz. Départ de l'avion 8:30 Plecare avionului: Ora 8:30		(Pozost (Rămân	
(Pozostaje w porcie docelowym) (Rămâne în portul de destinație).			



*Dwie drogi: samolotem do Bukaresztu lub
poprostu kolejką do Świdra*

kim zapalem, jak wierni do Mekki i Medyny, jak niewierni do Ciechocinka i Truskawca.

Tysiąc i jedna rozkosz czeka nas nad morzem! Łamią się pienne fale, kołysze się niepokojąco mały kuter, unosi się w słonecznym powietrzu hydroplan z morskiej eskadry, na tarasie modnej kawiarni tańczą z za-

pałem mieszcuchy, przeobrażeni raptem w jachtmanów — i nad tem wszystkim unoszą się w harmonji ze słońcem i morzem szepoty podziwu, że tak dobrze jest na świeci!



W spokojnej zatoce

Nie wszyscy jednak lubią latem życie osiadłe; są między nami duchy niespokojne, żadne przygód i niespodzianek, spadkobiercy nieśmiertelnych trampów Jacka Londona!

Nie jeżdżą jednak dzisiaj towarowami wagonami, nie wiszą na buforach; siedzą z non-szalancją za kierownicą sportowego auta, zasłaniają oczy ogromnymi okularami, i mkną po białych szosach, zdając się na opiekę patrona automobilistów, Ś-go Krzysztofa, który im wskazuje drogę.

Taki tramp nigdy nie wie rano, gdzie będzie wieczorem; jedzie, dopóki ma chęć — i zapas benzyny.

Najgorszym okazem człowieka, jadącego na wakacje jest Niezdecydowany. Taki pan lub pani radzi się wszystkich: manicurzystki, tragarza na dworcu, decyduje się jechać do Wenecji — kupuje bilet do Żegiestowa, po drodze wysiada w Skierniewicach i jedzie na wieś do kuzyna.

Po takim człowieku można się wszystkiego spodziewać, jest zawsze niezadowolony, złośliwy, i najczęściej wraca do Warszawy, żeby odprawić wakacje na plaży, urządzonej wiosennym sumptem na balkonie. Dokąd jechać?

To właśnie pytanie, ale łatwo na nie znaleźć odpowiedź.

W sobotę — po biurze pakuje się mały sakwojaż, dzwoni się do paru znajomych i przed trzecią wszyscy już są za miastem.

Week End!

Szum liści, bezpretensjonalne ćwierkanie ptaków podda dobrą myśl, i aeroplanem czy koleją, autem czy statkiem uciekamy z Warszawy tam, gdzie nie ma kurzu, ani egzekutorów, ani automatycznych polewaczek.

*Woda i słońce — czyż
może być coś przy-
jemniejszego*



Ostatni triumf króla

(w stulecie zdobycia Algeru)

Napisał:

J. Ginsbert

Kolonizacja i to racjonalna jest odrębna dziedziną wiedzy. Świadczy o tem historia. Wymordowanie dzikich plemion przez „Kulturträgerów” kaisera i kolosalne inwestycje wkładane w afrykańskie terytoria, nie zdołały z kolonij niemieckich uczynić korzystnej dla państwa imprezy. Przeciwnie — nie mówiąc już o kolonjach angielskich — Maroko francuskie, do niedawna kraj dziki i zaniedbany, stało się dziś jedną z pereł dominium kolonialnego Francji. Podczas, gdy przed dwudziestu laty człowiek wyjeżdżający do Maroka polecał duszę Bogu i podróżował z palcem na cynglu, — dziś biura turystyczne Cooka sprzedają bilety do Fezu i Rabatu, a podróż odbywa się w wygodnych wagonach czy autokarach. Ale na to trzeba było tak genialnego kolonizatora jak marszałek Lyautey, starego lwa z kohorty Gallienich, Marchandów, Courbetów.

Jeszcze jaskrawiej występują różnice w sposobach kolonizowania i administrowania zdo-

byczami zamorskimi, gdy się weźmie pod uwagę Alger. Cała Francja obchodzi dziś uroczyste stulecie aneksji tego gniazda korsarzy, przez długi czas uważanego za niezdobyte. A jak wiele się w ciągu tych stu lat zmieniło. Przecież dziś Alger nie jest już uważany za kolonję, ale za prowincję oddzieloną geograficznie rynną Śródziemnego morza.

I oto tam, gdzie przed stu laty dziki Dey żył z korsarstwa, krzewił niewolnictwo i żonglował głowami swych poddanych, — dziś rozciąga się kraj bogaty, żyzny, ludny i spokojny, którego uświadomieni obywatele na wieść o wojnie w liczbie 75.000 pośpieszyli do szeregów armji francuskiej. Dawni barbarzyńcy stali się żołnierzami cywilizacji przeciwko innym nowoczesnym barbarzyńcom. Zaiste — ironja losu. Potomkowie piratów i handlarzy niewolników bronili miast francuskich przed najazdem hord germańskich. Oto czego jest w stanie dokonać umiejętna polityka kolonizacyjna.



Widok Algeru w r. 1830



*Dey Algeru
policzkuje konsula
francuskiego
29 kwietnia
1827 r.*

Kiedy w ostatnim roku panowania Karola X, rząd francuski postanowił położyć kres poczynaniom Deya — znalazła się moc przeciwników tego projektu. Protestowali politycy, posłowie, wojskowi, marynarze, dziennikarze, męczy ludowi. Jedni z przekonania, drudzy dla intryg politycznych, trzeci z nienawiści do króla i rządu. Protestowała także Wielka Brytania, której podobne posunięcie było nie na rękę. I kto wie czy nie wynikłby wówczas konflikt między Francją a Anglią, gdyby nie opinia ówczesnego szefa rządu brytyjskiego, który przekonany, że Francuzi bezwarunkowo poniosą klęskę, — w myśl zasady „divide et impera” — nie uznał za stosowne interwenjować. Gdy zaś białe, burbońskie lilje wyszywane sztandary królewskie powiały na Kasbie — było już za późno ¹⁾).

¹⁾ Z owych czasów datuje się historyczne zdanie: *La France se fiche de l'Angleterre* — wypowiedziane przez ministra marynarki bar. d'Haussez do ambasadora Wielkiej Brytanji lorda Stuarta de Rothesay.

tkwiła jeszcze w powijakach, a cała marynarka francuska posiadała osiem niewielkich kołowców. Przewiezienie 40.000 ludzi i 4.000 koni (prócz załóg okrętowych) a dalej znacznych zapasów żywności i amunicji — nie było rzeczą łatwą. Dodajmy do tego, że wojska miały operować w nieznanym terenie i klimacie, że dowództwo nie posiadało ścisłych danych co do nieprzyjaciela i jego sposobów walki, że jedyną mapą była karta rysowana z pamięci przed 30 laty.

Przecież nie tak dawno flota angielska pod dowództwem lorda Exmouth okazała się bezsilna wobec fortyfikacji Algeru. Porażkę poniósł też hiszpański generał O'Reilly. A w roku 1541 cała armja Karola V poniosła pod murami twierdzy srogą klęskę. Wówczas to chorąży maltański Pons de Balaguier, osłaniając odwrót rycerzy francuskich, drzewcem swego sztandaru uderzył w odrzwia Algeru, wołając: „Powrócimy tu jeszcze!”



*Pałac dey'a
w r. 1830*

I przepowiednia sprawdziła się. Ale nie odrazu. Już za Ludwika XIV flota króla archychrześcijańskiego zbombardowała Alger, mszcząc śmierć trzech konsulów i dwóch misjonarzy, których okrutny Dey pozbawił życia, przywiązawszy do paszcz armatnich. O wylądowaniu nie było jednak mowy. Zresztą polityka ówczesnych ministrów była, z wielką dla Francji szkodą, wybitnie kontynentalna.

Potem Napoleon snuł plany zdobycia Algeru. Z jego to polecenia kapitan Boutin odwiedził gniazdo korsarzy i z nielicznych szkiców stworzył mapę, będącą owym jedynym źródłem dla ekspedycji 1830 roku. Ale klęska floty francuskiej pod Trafalgarem stała na przeszkodzie planom cesarza. I tu więc wybitnie lądowa polityka stała się przyczyną niepowodzenia. Napoleon w Memorjale z św. Heleny sam przyznaje, że zaniedbanie przezeń spraw morskich było powodem wielu klęsk.

Właściwą przyczyną konfliktu wynikłego między Karolem X a deym Hussein-paszą była skomplikowana transakcja zbożowa uskuteczniiona przez Izraelitów algerskich Busnacha i Bakriego. Hussein, przyzwyczajony do samowładztwa, nie mógł zrozumieć, że rząd francuski nie podziela jego finansowych poglądów na tę sprawę. (W grę wchodziła szkatuła deya). To też, gdy 30 kwietnia 1827 roku konsul francuski Deval usiłował wytłumaczyć Husseinowi zaszłe nieporozumienie — ten ostatni uderzył go wachlarzem. — „To nie mnie, to króla Francji dotyka ta zniewaga” — odpowiedział konsul.

Jakoż wkrótce potem eskadra francuska zablokowała Alger. Ale dwuletnia blokada nie osiągnęła przewidzianego skutku. Okręty żaglowe były nadto zależne od warunków atmosferycznych. Tymczasem 3 sierpnia 1829 artylerja twierdzy otworzyła ogień na okręty francuskie, które pod przykryciem flagi parlamentarnej podeszły do brzegu w celu rozpoczęcia rokowań z władzą Algeru.

Tego już było nadto. Wyprawa została postanowiona. Dowódcą korpusu ekspedycyjnego z prawem dowodzenia całością, został generał-porucznik hr. de Bourmont. Dowódcą floty, admirał Duperré. Trzeba było 500 okrętów, by przewieźć z Tulonu do Afryki 37.577 ludzi, oraz odpowiednią ilość koni, mułów, dział, wozów, żywności i amunicji.



Hussein, ostatni Dey Algeru

Tutaj

14 Czerwca 1830

z rozkazu Króla Karola X

Armja Francuska

pod dowództwem generała de Bourmont
zatknęła swe sztandary
zwracając morzom wolność
i dając Alger Francji.

Napis ten umieszczony na baszcie fortu Torre Chica po dziś dzień świadczy o ostatniej wyprawie wojskowej Francji królów. W tym to bowiem dniu wojska wylądowały szczęśliwie na położonym o 15 km. na zachód od Algeru półwyspie Sidi Ferruch, którego bronił ów właśnie fort turecki.

Wylądowanie, wbrew oczekiwaniom, poszło gładko. Turcy i Arabowie, ufni w swą siłę, nie przeszkadzali. Sądziło, że wojska francuskie zostaną tem łatwiej pobite na lądzie a potem zepchnięte w morze. Los rycerzy Karola V i żołnierzy generała O'Reilly zdawał się oczekiwać trzy dywizje generała de Bourmont.

Ale opracowanie szczegółów wyprawy przyniosło prawdziwy zaszczyt sztabowi francuskiemu. Mimo szalenie trudnych warunków, mimo silnego sztormu, który wybuchł w dwa dni po wylądowaniu, nie utopił się ani jeden żołnierz, nie uroniono ani jednej armaty. Jedynie zginęło 25 koni z wywróconej barkassy.

Teraz rozpoczął się mozolny pochód ku Algerowi poprzez łańcuchy porośniętych gęsto wzgórz. Nieprzyjacieli atakował kilkakrotnie,

ale bez skutku. 19 czerwca na płaskowzgórzu Statoueli rozegrała się walna bitwa między armją Deya a korpusem ekspedycyjnym. Pierwsza przewyższała liczebnością prawie dwukrotnie wojska francuskie, z których nadto część musiano pozostawić wtyle, dla ochrony komunikacji.

Przez chwilę lewe skrzydło francuskie znalazło się w powietrzu. Otoczony ze wszystkich stron tłumem Arabów, bataljon 28 pułku bronił się dzielnie. A w nierównym terenie poszczególne kompanie zostały izolowane. Przy pułkowniku Mounier pozostała tylko chorągiew i pluton eskorty. Garstka ta topniała z każdą chwilą. Jednocześnie przeważające siły Janczarów i Kabyłów atakowały na przyległych odcinkach. Sytuacja była krytyczna.

Dojrzał ją dowodzący rezerwą, generał Duc de Cars, zajmujący pozycję o dwa kilometry wtyle. Przez lunetę widać było wołyżerów 28 pułku, broniących się rozpaczliwie bagnietem przed tłumami piechurów i jeźdźców. Nie było chwili do stracenia.

Więc przywołując pierwszy oddział, jaki

ma pod ręką, ksiądz de Cars konno staje na jego czele. 35 pułk piechoty rusza na pomoc biegiem. Ale czy zdąży? to wielkie pytanie. Poprzecinany wawozami, porośnięty krzakami teren nie nadaje się do szybkiego marszu. A tymczasem lewe skrzydło Francuzów chwieje się coraz silniej. Zaś wokół chorągwi 28 pułku już tylko kilku rannych broni świętej relikwii.

Aż oto ksiądz de Cars daje znak i olbrzymi, brodaty tambur-mażor podnosi swą srebrną laskę. Czterdziestu trębaczy i doboszy wybiega przed front pułku. Bębny uderzają werbel. Trąbki grają do ataku. I z za krzaków ukazują się lśniące w promieniach afrykańskiego słońca szeregi francuskich bagnietów.

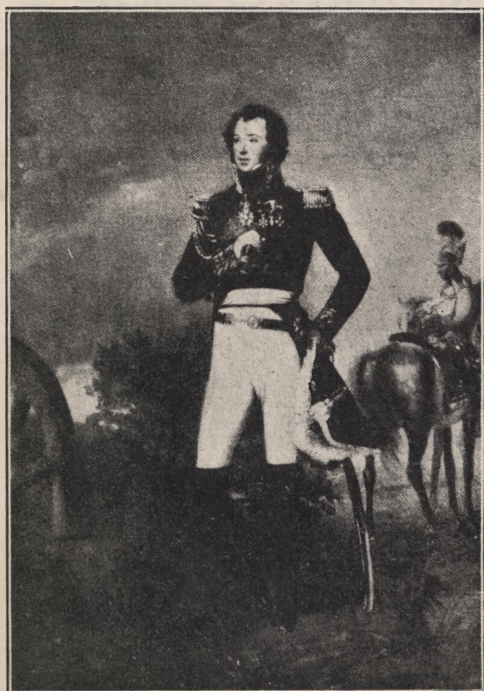
Wrażenie jest tak potężne, że zaprawioną w bojach piechotę janczarską lęk ogarnia. Chwilę żołnierze Deya wahają się oszołomieni. Aż nagle pierzchają jak stado spłoszonych kuropatw. A przecież prawie pół kilometra dzieli jeszcze obie linie.

Jakże „świeża i wesoła” była wojna w owych czasach, kiedy to wróg pierzchał na sam łoskot bębnow.

Inicjatywa ks. de Cars ocaliła armję francuską od zagłady. Bowiem w ślad za uchodzącymi Janczarami, pułki wpadły do położonego na płaskowzgórzu obozu. Po godzinie wojska tureckie sromotnie podały tył, pozostawiając w rękę żołnierzy króla broń, działa, amunicję, sztandary, namioty i całe stada wielbłądów, osłów, baranów. Wyżywienie ekspedycji — jedno z utrapień głównodowodzącego, zostało zabezpieczone.

Niestety, kunktatorstwo admirała Duperré nie pozwoliło na natychmiastowe wykorzystanie okoliczności. Obawiając się, że zatoka Sidi-Ferruch nie pomieści od razu wszystkich okrętów, admirał podzielił flotę na kilka konwojów. Rezultatem tego było, że jeden z nich załadowany głównie końmi, przybył z dwutygodniowym opóźnieniem, wywołanym przeciwnymi wiatrami i długim pobytem w Las Palmas. To też pułk strzelców konnych ekspedycji rozporządzał tylko 25 rumakami, a artylerzyści dokonywali cudów odwagi i poświęcenia, przepychając działa ręcznie poprzez przepaście pozostające pod krzyżowym ogniem przeciwnika.

Trzeba więc było czekać na ów transport, bez którego nie było mowy o doprowadze-



Marszałek de Bourmont, dowódca ekspedycji francuskiej

niu artylerji oblężniczej pod mury Algeru. Tymczasem sztorm rozpędził zbyt długo tkwiące na redzie okręty. I tu uwypukliły się zdolności generalnego intendenta Dennie. Bo- wiem wszystkie skrzynie z żywnością i amunicją miały metalowe osłony, dzięki czemu w chwili krytycznej wyrzucono je z pokładu okrętów w morze, a fale same przygnały je do brzegu bez jakichkolwiek uszkodzeń. W ten sposób sam-żywiół pomógł do wyłاندunku.

dywizje wystawiły swą flankę na ataki wroga, a nadto w głębokich i ciasnych parowach tak pomieszały się ze sobą, że generałom za- ledwie udało się rozgmatwać ten żywy węzeł.

Wreszcie błąd naprawiono, ale zmordowa- ni upalnym dniem i kontrmarszami żołnierze nie byli już zdolni do dalszej akcji. To też resztę działów trzeba było zawiesić do dnia następnego.

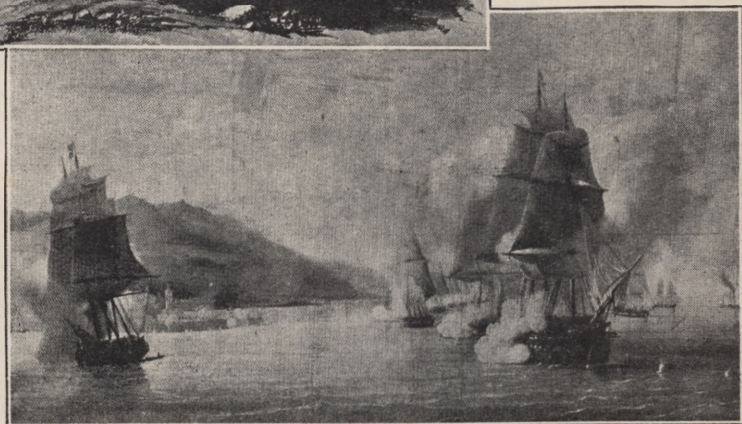
Dostępu do murów miasta bronił z tej strony fort Sultan Kalassi, którego garnizon składał się z 2000 ludzi i 53 dział. Artylerja francuska (28 dział pod dowództwem generała La Hitte) wzięła go pod ogień z odległości 450—600 metrów. Jakże śmieszne wydają się nam dziś te cyfry.

3 lipca o 8 rano wybito w murach wyłom. Przerażeni Turcy usi-



Fort cesarski
w Algerze

Atak Algeru
przez flotę
francuską



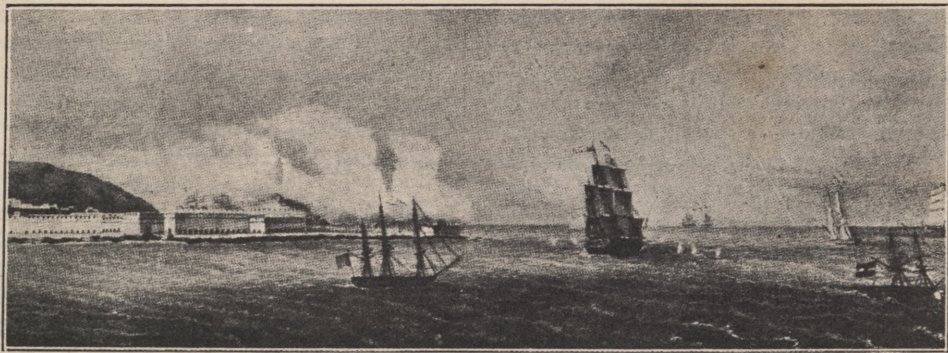
Wreszcie 28 czerwca Bourmont wydał rozkaz rozpoczęcia ofensywy. Nazajutrz o świcie trzy dywizje generałów: de Cars, de Loverdo i Berthézene, ruszyły do ataku. Ale na samym początku zaszedł przykry incydent, którego ofiarą mogły paść losy całej ekspedycji.

Złudzony mirażem w promieniach wschodzącego słońca, szef sztabu generał Désprez, wziął mglisty opar za morze i, sądząc, że zmylił drogę, kazał wojskom zwrócić się o 90 stopni na północ. W ten sposób dwie

łowali ująć do miasta, ale Hussein przyjął ich gradem kartaczy. Zawrócili więc znów ku fortowi, pewni, że idą na zgnęb. W obozie francuskim trąbki zagrały do ataku.

Aż tu o 10.15 czerwony płomień owinął ściany Sultan Kalassi. Rozległ się huk ogłuszający, poczem masa z dymem zmieszanych gładów buchnęła na sto metrów w górę. Na obóz francuski poczęły lecieć odłamki murów, baszt, armaty, ciała ludzkie. Kilku żołnierzy zostało zabitych i rannych.

To pozostawiony przez komendanta fortu



Fregata „Provence” bombarduje Alger

niewolnik podpalił prochownię, zamierzając pogrzebać pod gruzami fortu atakujących Francuzów. Na szczęście podpalił przedwcześnie. A spadające odłamki wyrządziły więcej szkód w mieście, niż w obozie.

Gdy minęło pierwsze osłupienie, zawarczały bębny. Brygada generała Hurel wpadła w zwałiska fortu. Dumont, grenadier 17 pułku, zrywa z siebie koszulę i zawiesza ją na palmowej gałęzi. Jest to pierwszy biały sztandar królewski powiewający na murach Algeru.

O godzinie drugiej Dey wysłał parlamentarzysty. Ale Bourmont odpowiada sucho: „Podajecie się na łaskę i niełaskę, albo bombarduję miasto”. Jednocześnie flota francuska demonstruje od strony morza. Hussein zgadza się.

5 lipca 1830 r. przy dźwiękach muzyki wojennej generał de Bourmont wkroczył do miasta. W skarbnicy znaleziono złota i srebra na przeszło 48.600.000 franków, do czego należało dodać około 7 milionów z tytułu zdobytych armat i ruchomości. A ponieważ koszt całkowity ekspedycji wynosił 48.500.000 franków, operacja prócz bezcennych zdobyczy terytorjalnych, przyniosła Francji 7 milionów czystego zysku, co na owe czasy było sumą nie do pogardzenia.

Dwadzieścia dni wystarczyło, aby unicestwić pirackie gniazdo, dręczące cały świat cywilizowany w ciągu trzech wieków. A straty ekspedycji wynosiły ogółem 400 zabitych i niespełna 2000 rannych.

Generał de Bourmont nagrodzony został marszałkowską buławą, a admirał Duperré

godnością Para Francji. Niestety buława nie mogła osłodzić Bourmontowi straty ukochanego syna, poległego w walce z Arabami. Był to dopiero początek nieszczęść, które odtąd poczęły trapić zwycięskiego wodza.

Albowiem w trzy tygodnie po zdobyciu Algeru, Karol X abdykował. Rewolucja lipcowa dała tron Francji i Nawarry Ludwikowi-Filipowi. Dawni żołnierze Karola popadli w niełaskę, a między nimi i Bourmont. Ostatni jego rozkaz dzienny brzmiał:

„Stosownie do rozkazów Księcia Orleańskiego, generalnego porucznika Królestwa, dotychczasowe białe kokardy i sztandary zostaną zastąpione kokardami i sztandarami trójbarnymi.

Jutro o ósmej rano podniesiemy trójkolorową chorągiew. Sztandary i chorągwie pułkowe pozostaną w swych pokrowcach. Wojska założą trójkolorowe kokardy z chwilą, gdy otrzymamy dostateczną ich ilość.

Marszałek Francji, Par Francji,
komendant armii afrykańskiej
Hrabia de Bourmont”.

*

Sto lat minęło od owej chwili. Kilkakrotnie przechodziła jeszcze Francja zmianę rządów. Królestwo, Republika, Cesarstwo, Komuna i znów Republika przewinęły się pod murami Pałacu Elizejskiego. Ale epopeja wypisana ostrzami bagnietów żołnierzy Karola X pozostała. I pozostała przy Francji zdobyta ich krwią i potem ziemią — dziś najpiękniejsza perła zdobiąca czapkę frygijską Marianny.

Serce profesora

Napisał:

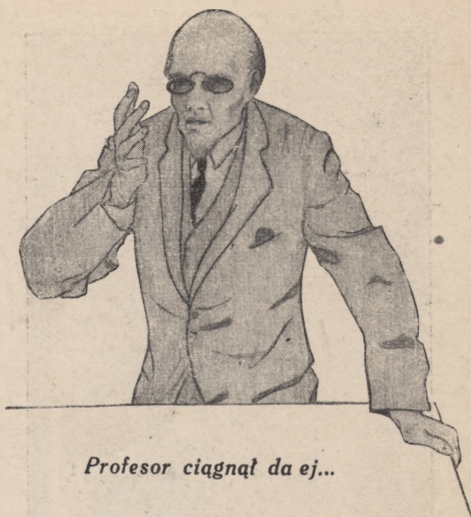
Zygmunt Troniewski

Ilustr.: J. Baranowska

— Dlaczego, — ciągnął rozplątany profesor Veschke, — osobnik, próbujący bezpłatnego transportu pod ławką kolei żelaznej, naraża się na niechęć ogółu i dotkliwą karę, podczas, gdy podobne mu indywiduum, które wykorzystuje w ten sam sposób aeroplan, lecący przez Atlantyk, zdobywa powszechny rozgłos i zostaje fotografowane razem z uczestnikami sławnego raidu? Dlaczego X. X., terminator piekarski z Berlina, który powtarza eksperyment na „Grafie Zeppelinie” doznaje wątpliwej przyjemności obcowania z małpą wciągu czterech dni, co zapewne odstreńczyłoby nawet Darwina, i podlega natychmiastowej eksmisji z Nowego Świata, nie dorzuciwszy ani szczypty sławy do swego nazwiska rodowego? W badaniach moich nad tem zagadnieniem, Szanowni Państwo, określiłem wszystkie czynniki, dotyczące przedmiotu, oraz doszedłem do całego szeregu praktycznych wniosków, a najważniejszym z nich jest, że jedynie pierwsza próba tego rodzaju budzi entuzjazm tłumu, oczywiście, w danej dziedzinie komunikacji!

Profesor wypisał wniosek gotyckimi literami na tablicy i powiódł triumfalnym wzrokiem po sali. Cisza zdwoiła. Publiczność zdawała się dźwigać na swoich mózgownicach przynajmniej połowę wagi tylko co usłyszanego oświadczenia. Profesor ocenił to i ciągnął dalej:

— W rezultacie moich prac mamy możliwość przewidzenia, ile okazji czeka jeszcze ludzkość w dziedzinie nielegalnych, — pozwolę sobie użyć tego wyrażenia, — przejazdów, uwieńczonych sławą, a przynajmniej popularnością. Innymi słowy — dla ilu zręcznych śmiałków otwarta jest ka-



Profesor ciągnął da ej...

riera tego szczególnego rodzaju. Wyliczę te okazje: pierwsza wyprawa do księżycy, pierwsza wyprawa do każdej z planet...

— Do domu warjatów...! — podchwycił jakiś głos.

Lecz profesor wspaniałomyślnie nie zwrócił nań uwagi, rozwijając swą teorię z istic naukową precyzją. Wynagrodzono go zasłużonym hałasem. Grupa jakichś panów zaprosiła go nawet w imieniu „Ligi Rozżarzania Indywidualnej Inicjatywy” na kolację, do jednego z mniej znanych hoteli. Lecz profesor kategorycznie odmówił: żona jego, młoda, ale gospodarna, czekała go w domu z ulubioną grochówką, która łączy w sobie „smak, pożywność i wagę”. Może byłby jeszcze poświęcił grochówkę, lecz zrobienie zawodu małżonce mogło mieć przykre następstwa.

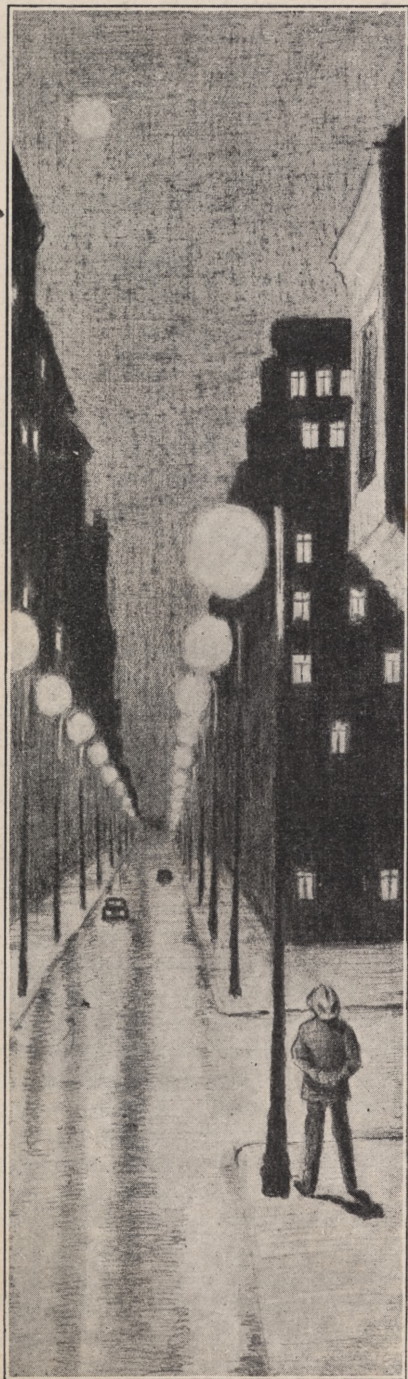
Z myślą o niej (grochówce) skreślił w boczną ulicę, gdy niespodzianie zastąpił mu drogę jakiś osobnik. Wygląd jego zdradzał niezwykle wzburzenie wewnętrzne:

— Profesorze! Zwichnął mi pan karierę!

Profesor przystanął.

— Pan się chyba myli... Ja pana sobie... nie przypominam...

— Swoim odczytem dzisiaj zwichnął mi pan karierę!



Skręcił w boczną ulicę

— Jakto? Pan raczy żartować! — wykrzyknął profesor, trzymając się za kieszenie od spodni, gdzie zwykły był chować pugilares.

— Nie. Mówię serjo. Plan mego życia został dziś przekreślony! Ja — zniżył głos — projektowałem udział w pierwszej wyprawie na księżyc... Teraz przepadło! Oni będą się mieli na baczności; zastosują wszystkie środki, bo pan zwrócił na to ich uwagę...

— Jacy oni? — zapytał profesor, zdejmując ręce z kieszeni.

— No... oni. Ci, co pierwsi pojedą na księżyc.

— Wie pan coś o nich? Któż to taki? — interesował się żywo profesor.

— Profesorze! Nie odbiegajmy od tematu! — Przerwał sucho nieznajomy, jest pan mi winien ka - rje - re! Czy zdaje pan sobie sprawę, ile warta jest karjera nielegalnego uczestnika pierwszej wyprawy na księżyc?...

— W takim razie... niech pan jedzie na Marsa, — zaproponował nieśmiało profesor.

— Kiedy i o Marsie pan mówił, profesorze! Dość tych wykrętów zresztą! Albo daje mi pan jakieś rozwiązanie, jakąś rekompensatę... albo...

Ton nieznajomego był zupełnie zdecydowany.

— Cóż ja mogę zrobić? — biedził się profesor, myśląc jednocześnie z przerażeniem o upływających minutach, które zwiększały gniew żony w postępie geometrycznym. (Słuchała przecież odczytu przez radio — wie, że dawno się skończył).

— Uważa pan, rozmówimy się kiedy indziej, teraz naprawdę nie mam czasu. Zupełnie serjo mówię...

— Nie, nie, — nalegał nieznajomy, ja nie poprzestanę na czczej obietnicy. Zresztą, rozumie pan... nie panuję nad sobą.. Nie ręczę... Radziłbym przeto...

— Panie, — z płaczem prawie wykrzyknął profesor, kimkolwiek pan jest, ufam, że jest pan gentlemanem. Wyjaśnię panu — żona mnie czeka!... Z kolacją... Jeśli miał pan kiedy do czynienia z kobietami, zrozumie pan,

że nie mam ani chwili do stracenia. Pozostaje jedno — niech pan idzie razem ze mną.

Pomimo, usilnych zabiegów profesora, by zakończyć sprawę po drodze, doszli do mieszkania bez żadnego wyniku. Lecz atmosfera pracowni profesora, gdzie zasiedli w fotelach, podziałała twórczo na światły umysł gospodarza. Po długich debatach stanęło na tem, że profesor sam zorganizuje pierwszą wyprawę na księżyc i umożliwi nieznanomemu nieoficjalny przejazd tamże.

— A może będzie lepiej, — zapytał profesor, jeśli zostanie pan urzędowym członkiem ekspedycji?

— Wyłączone, — odrzekł twardo nieznanomy, — nigdy nie zmieniam swoich postanowień.

Kuszący zapach grochówki zaczął drażnić powonienie i dał się słyszeć brzęk naczyń. Gość zrozumiał, że należy się pożegnać. Profesor odprowadził go do drzwi (był gościnny, a zarazem ostrożny). Nieznajomy wręczył mu bilecik wizytowy z napisem: Dr. Apikrust.

Nie był to łatwy orzech do zgryzienia — ta księżycowa ekspedycja.

Pierwsza nasuwająca się wątpliwość — samolot, czy sterowiec — została rozstrzygnięta na korzyść sterowca, ten bowiem rodzaj komunikacji zapewniał większy komfort. Lecz po gruntownym przestudjowaniu Jules Verne'a i innych autorytetów, profesor zwrócił uwagę na fakt, że pomiędzy ziemią i księżycem niema powietrza. Wobec tego idea użycia sterowca upadła, i stara koncepcja pocisku, wystrzelonego w przestrzeń międzyplanetarną, zastąpiła wszystkie inne. Profesor sam sporządzał plany, Apikrust zaś, który okazał się zupełnie miłym młodzieńcem, zaczął bywać w domu Veschków prawie codziennie. Żył się z tymi ludźmi tak dalece, że niejednokrotnie pomagał profesorowej przy kuchni, podczas gdy sam Veschke tonął w obliczeniach.

Wszystko składało się świetnie, gdy niespodziane zdarzenie zrobiło wyłom w zdobywczym nastroju profesora. Wyszedłszy raz na ulicę, przypadkiem podniósł głowę dogóry i zobaczył księżyc, świecący blaskiem pełni. Przystanął, osłupiały.

— Nie sądziłem, że to aż *tak* daleko — wymamrotał do siebie.

I od tej chwili znikł jego zapał. A w głowie wylęła się myśl, by zatrąbić na odwrót. Lecz już zbyt szeroko wiadano o czynionych przygotowaniach. Przytem ten Apikrust... żył myślą o wyprawie, palił się do niej! Szczególnie w ostatnich dniach...

„Żona
mnie czeka
z kolacją”...





Atmosfera pracowni profesora...

wprost błagał o przyspieszenie terminu...

Ciężkie myśli obsiadły głowę profesora. Był między młotem a kowadłem.

I nie wiadomo, na czym skończyłoby się, gdyby nie przypadek. Przy budowie rusztowania pod działo pracowali robotnicy. Któregoś dnia po robocie jeden z nich zbliżył się do profesora i oświadczył, że niejaki Hans nie był wczoraj po południu na robocie, a podał się za obecnego, i że inni robią często to samo. Profesor podszedł do Hansa z gorzkimi wymówkami, lecz słowa robotnika zdeзорjentowały go:

— Dałem mu w zęby, to mnie oczernia. Dam mu jeszcze raz, ale tak, żeby zaniemówił, kanaj! — odgrażał się.

Profesor stwierdził, że niczem nie może udowodnić Hansowi jego nieobecności. Lecz genialny jego umysł skojarzył natychmiast zanotowany fakt z osobistymi problemami i, ułożwszy dwa równania o dwóch niewiadomych, którymi były: 1) nieobecność Hansa i 2) kwestja delikatnego wycofania się z fatygującej wyprawy, zaczął je rozwiązywać.

— Był nieobecny... a podał się za obecnego. Dowieść niemożliwe. Ja też mogę być nieobecny w pocisku,

a ludzi przekonać, że jestem. Jakie proste i jakie genialne!

— Świetnie... — snuł myśli dalej — Apikrusta wyprawię... taak... dwa włązy w torpedzie... jeden oficjalny, drugi niewidoczny — pod pomost. Taak... wewnątrz przegroda... Apikrust nawet nie będzie wiedział, że mnie niema... Tylko odpowiednio ułożyć instrukcję, żebyśmy się nie potrzebowali widzieć, gdy ja będę chyłkiem wychodził, a on — chyłkiem wchodził. A główne — nie mówić nic Grecie... Rozpapie...

Zacierał ręce z zadowoleniem. Koszmar się rozwiewał. Z nową energją przystąpił do dzieła, a wykończenie instalacji pozostawił sobie, oddalwszy wszystkich.

Szczytem całego pomysłu, w mniemaniu samego profesora, było wypisanie potrójnej instrukcji:

Dla Apikrusta

9.30 rano — wślizgnięcie się otworem Nr. 2 (gumowe obuwie — absolutnie bez hałasu).

Dla profesora

9.00 rano — publiczne wejście do torpedy otworem Nr. 1.

9.10 — wymknięcie się otworem Nr. 2.

Dla publiczności i ludzi przy starcie

9.00 — umieszczenie profesora w torpedzie.

9.01 — zamknięcie otworu.

9.01—9.59 — profesor wypróbuje warunki egzystencji w torpedzie. Jeśli niema znaku, to:

10.00 — włożenie do działła.

10.05 — wystrzał.

W przeddzień, późnym wieczorem, przyprowadził Apikrusta i kazał mu dziesięciokrotnie przerobić pod pomostem wchodzenie do torpedy i bezszelustne zamknięcie otworu. Apikrust promieniał, szalał...

— Dobry chłopak, — pomyślał profesor, — szkoda go. Ale sam chciał...

— — — — —
Uroczysta cisza pożegnania. Heroiczna postawa żony. Profesor wsuwa się do pocisku. Wieko zapada.

Profesor leży — zimny pot go oblewa. A jeśli... pomyłka. Jeśli, nie czekając, wsadzą torpedę do działła. Przerażony, naciska guzik. Otwór Nr. 2 odsłania się bezszelestnie. Profesor wymyka się na czworakach pod belkami rusztowania. Głębokie westchnienie ulgi. Z za rogu, gdzie przystanął, widać tyły tłumu. Dziesiąta! Strzał! O, biedny, szalony Apikruście!

Boli głowa. Jakoś chce się spać... Profesor chyłkiem zdąża ku domowi. Szczęśliwym trafem zostawił klucz w kieszeni.

Żony nie zastaje. Jeszcze nie wróciła, oczywiście. Żeby tylko w zdenerwowaniu nie chciała uczynić sobie co złego...

Oczy się kleją. Zrozumiałe — praca ostatnich dni. Takby się zwałił na łóżko w ubraniu. Lecz pominięcie świeżej pościeli zredukuje radość żony z nieoczekiwanego powrotu. Możeby w pokoiku służącej... nikogo przecież nie ma.

Profesor wyciąga się. Marzy. Zaspia.

Budzi go dźwięk znanego dobrze głosu... gdzieś za drzwiami:

— Kochanie! Nareszcie — sami. Pocałuj mnie, drogi!

Profesor przeciera uszy.

— Cudna moja! Cieszysz się?

Na planety! Toż to głos Apikrusta!



...gdzie zasiedli
w fotelach

— Szaleję! · Skończone więzienie!
Djabli go wezmą na tym księżycu —
to pewne!

— — — — —
Profesor drżącymi palcami wyjął
notes z kieszeni i szybko zapisał:

„Jeszcze jeden czynnik w niepowodzeniu nielegalnych wypraw — kobieta”.

Poczem serce mu pękło.



Profesor wymyka się na czworakach pod belkami rusztowania...

*Bez biału!
napisał
J. Hajeński*

Zdaje ci się więc, mój przyjacielu, że umiesz grać w bilard. W głębi duszy uważasz się nawet za mistrza. Nic dziwnego; na górze w twojej cukierni otacza cię ogólny szacunek; już kiedy nawykłym ruchem zrucasz marynarkę, na sali robi się ciszej; kiedy zaczynasz smarować kij, sztamgasty dopijają pośpiesznie czarną kawę; w chwili, kiedy z nonszalancją a jednocześnie i wdziękiem, nie wyjmując z ust papierosa, stajesz do popisu wyższej szkoły na bilardzie karambolowym, zdarza się, że rozbijasz piramidkę, jesteś otoczony galerją. Kiedyś zaś, koło dziewiątej, nawet kelner zatrzyma się na rozstawia-

Kiedy zaczynasz smarować kij, sztamgasty dopijają pośpiesznie czarną kawę

Phot. Atlantic



nych nogach, z tacą w jednej ręce, a serwetką w drugiej, w oczekiwaniu jakiego nadzwyczajnego wyczynu; ba, tam nawet markier, jeżeli cukiernia twoja posiada markiera, przyjdzie czasem z pobłażliwie zachęcającym uśmiechem śledzić przebieg gry.

Tak jest. Masz przecież ustaloną sławę: kroniki twojej cukierni notują, że zdarzało ci się po dwa i trzy razy z rzędu zrobić swoją pięćdziesiątkę, nie wypuszczając kija z ręki.

Przyjacielu, nie chciałbym odbierać ci wiary w siebie, która jest przecież podstawą dobrego samopoczucia, cóż jednak, kiedy twoje popisy tak się mniej więcej mają do prawdziwej gry, jak taniec twojej kuzynki Luli, królowej dancingu, do kreacyj Hulanickiej, lub zgółta nawet muzyka twojej utalentowa-



Właściwi matadorowie czekają dopiero swojej kolei, z pobłażliwym uśmiechem patrząc na te wprawki dla początkujących

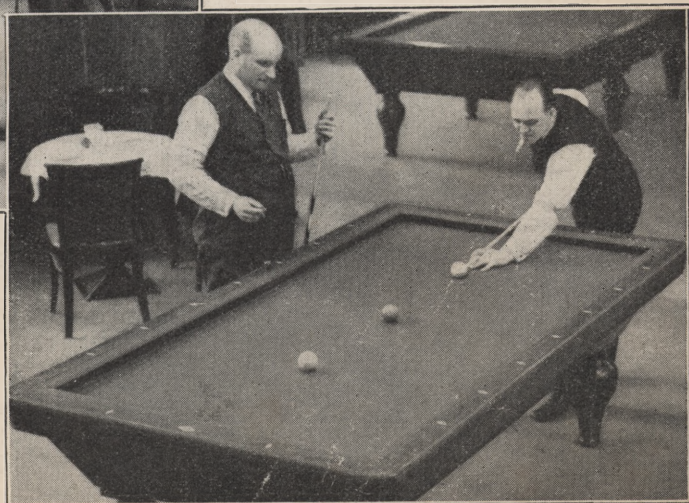
nej siostrzenicy, Numpy, do muzyki Paderewskiego.

Masz przecież, jak powiadasz, wyższe i międzynarodowe aspiracje, nosisz burberry, Borsalino, zacząłeś nawet kiedyś



Jeszcze ostatnia anegdota, zakończona przy smarowaniu kija.

...i miny poważnieją





Tutaj, oprócz pewności ręki i oka, potrzebna jest czasem i gimnastyka

czytać jakąś powieść Decobry w oryginale, przejeżdż się więc kiedy do której ze stolic świata, ażeby własnymi oczyma ujrzeć genjuszów sztuki, którą uprawiasz — pomękać jako fach, aczkolwiek poboczny.

Czy wiesz na przykład, co to jest w Paryżu „Akademja Bilardu”? Czy wiesz,

dokąd w tym kunszcie sięgać może wiedza akademicka? Czy wiesz, jak ją można eksploatować? Jeżeli nie wiesz tego wszystkiego, to ci to powiem.

Wchodzisz oto do wielkiej sali, której środek zajmuje kilka majestatycznych bilardów. Dookoła trybuny dla widzów, przy bilardzie — mały stolik, przy nim dwaj panowie w żakietach, przyjmujący stawki. „Akademja Bilardu” jest bowiem instytucją z totalizatorem i stawia się na graczy, jak na konie wyścigowe. Ale to za gracie!

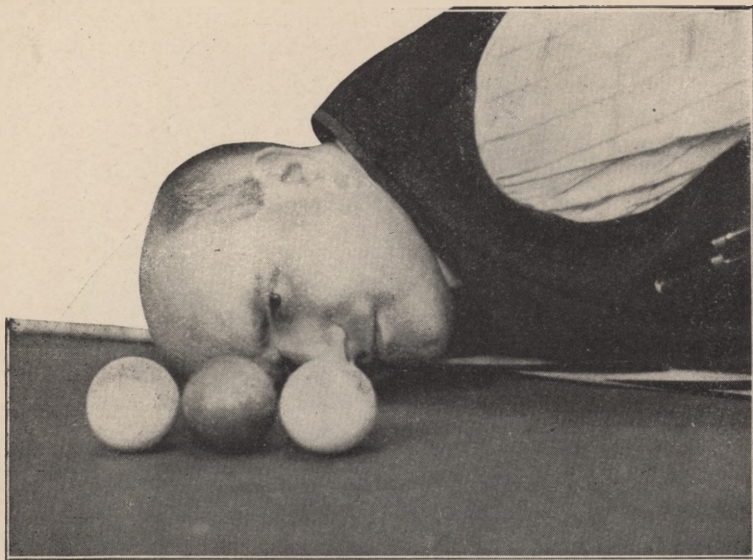
Jest godzina siódma po południu, gra zaledwie się rozpoczyna. Trybuny słabo jeszcze obsadzone, występują siły drugorzędne.



Dosyć osobliwie przedstawia się widok gry, oglądanej pomiędzy rozstawienymi nogami eksperta...



...albo pod jego łokciem



*Nieubłagany sędzia
oświadczył tonem,
nie dopuszczającym
sprzeciwu,
że jest tusz*

Partja normalna — właściwie zabawka, do pięciuset punktów. Przy bilardzie trzech graczy. Porównywasz ruchy, wyrazy twarzy, szukasz wskazówki, na którego postawić. Trudny wybór i wszyscy trzej spokojni, wszyscy trzej zrównoważeni, opowiadają sobie anegdoty. Stawiasz na chybił trafił. Twój gracz rozpoczyna.

Rozpoczął dobrze. Zabrał odrazu bile w jednym rogu bilardu — i stuka. Wystukał pięćdziesiąt, sto, dwieście, rozpierzchły mu się bile — zebrał je znowu, i tak sobie, od niechcenia, w pięć minut, nie wypuszczając kija, odrobił swoje pięćset.

Promieniejesz, jesteś pewien swojej wygranej. Radość przedwczesna: stanął do bilardu drugi, nasmarował kij — i znów tak sobie, od niechcenia, robi swoje pół tysiąca.

Często zdarza się, że i trzeci z kolei powtarza ten sam popis. Następuje rozgrywka, czasami nawet dwie jedna po drugiej, dopóki któremu nie drgnie wreszcie ręka. Ten jest zgubiony. Już go inni nie dopuszczają do kija!

Tymczasem jednak właściwi matadorowie czekają dopiero swojej kolei, z nieco ironicznym uśmiechem spoglądając na te wprawki dla pęczatkujących.

Właściwi bowiem matadorowie uznają tylko biegi z przeszkodami. Biegi te rozpoczynają się. Jeszcze ostatnia anegdota, dokończenie przy smarowaniu kija — i miny poważnieją.

Poważnieją — bo chodzi o zarobek. Od

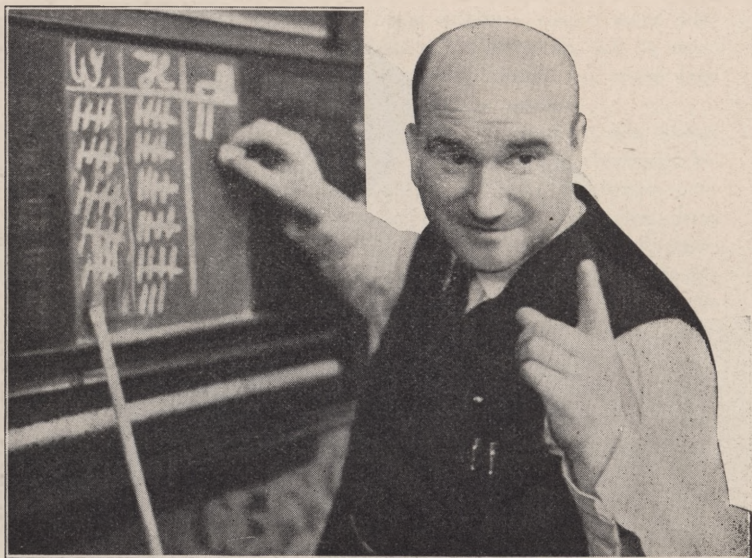
każdej stawki przy totalizatorze wygrywający „akademik” otrzymuje 10 %. Dochód z tego źródła wynosi przeciętnie około 200.000 franków, czyli 70.000 złotych rocznie. Wobec takich sum — niema żartów.

Przeszkody bywają różne. Najłatwiejsza do przezwyciężenia polega na tem, że sukno bilardu podzielone zostaje kredą na 9 prostokątów. W każdym prostokącie wolno jest graczowi zrobić tylko 10 karambolów. Po ich wykonaniu obowiązany jest swoją czerwono-białą parę przepędzić do następnego czworoboku — i tak aż do skutku, dopóki nie wykona całej pięćsetki.

Jest to jednak dopiero początek. Poważniej wygląda partja, zwana „przez trzy bandy”, gdzie wogóle wszelkie zbieranie bil jest bezcelowe, ponieważ pomiędzy uderzeniem pierwszej z nich, a drugiej, gracz musi obowiązkowo przynajmniej trzykrotnie odbić się o bandę.

I to jednak nie jest jeszcze największa trudność. Szczytem kunsztu jest partja „przez czerwoną”, to znaczy taka, w której „akademik” musi trafić z początku w czerwoną bilę, a potem dopiero białą. Tutaj już bywają momenty roznamiętniające — kiedy taka czerwona, jak na złość, albo i zgoła przez złośliwość partnera, stanęła właśnie tuż za białą i to — na samym końcu bilardu. Tutaj, oprócz pewności ręki i oka, potrzebna jest czasem i gimnastyka. Tutaj następuje moment, kiedy sam pan markier w żakiecie, je-

*Pozostaje tylko
z rezygnacją
i z melancholijnym
uśmiechem wypisać
na tablicy swoją
ilość punktów —
i ustąpić miejsca
współzawodnikowi*



dnocześnie pełniący funkcje eksperta, opuściwszy swoje stanowisko przy tablicy, staje na straży prawidłowości gry, pilnując aby biała nie została przypadkiem zawadzona w sposób, niedostrzegalny dla widzów na trybunach, i żeby jedna przynajmniej noga gracza opierała się o podłogę, co jest, jak powszechnie wiadomo, świętą i nienaruszalną zasadą wyższej gry. Ten rzeczoznawca rozstrzygający sprawy sporne bezapelacyjnie jest jedyną osobą, której wolno podczas rozgrywania partii znajdować się w obrębie pola walki, zasłaniając napastników. Dosyć osobliwie przedstawia się widok gry, oglądanej pomiędzy rozstawionymi nogami eksperta, albo pod jego łokciem.

Moment najwyższego napięcia następuje jednak, kiedy gracz, przewyciężywszy wszystkie przeszkody, wykonał prawidłowo swój karambol, ślicznie zebrał bile obok siebie — i kiedy naraz nieubłagany sędzia oświadczył tonem, nie dopuszczającym sprzeciwu, że jest tusz. Pomimo wszystkich rygorów roznamietniony gracz przyciska skroń do sukna, żeby sprawdzić słuszność orzeczenia. Daremnie: wyrok był bezapelacyjny. Pozostaje tylko z rezygnacją i melancholijnym uśmiechem wypisać na tablicy swoją ilość punktów — i ustąpić miejsca współzawodnikowi.

*Czy pijeś „Cherry Brandy”?
„Rektyfikacji Warszawskiej”?*



POŻARY NA WODZIE

NAPISAŁ NEMO

Znany żart uliczników „Wisła się pali”, nie jest taką niemożliwością jakby się na pozór zdawało. Bowiem pożary na wodzie nie tylko trafiają się dość często, ale przybierają rozmiary nawet znacznie groźniejsze niż na lądzie.

Zaliczyć do nich można właściwie pożary wody i pożary obiektów na wodzie położonych.

Pierwsze wynikają najczęściej na skutek pęknięcia jakiegoś zbiornika ropy, gazoliny, nafty czy tp. Nie trudno o to w miastach portowych czy nad wielkimi rzekami, gdzie cysterny, rezerwoary i fabryki materiałów łatwopalnych znajdują się wzdłuż brzegów, a na wodzie pełno napełnionych takimi materiałami okrętów.

Niedawno na rzece św. Wawrzyńca zaszedł wypadek eksplozji okrętu-cysterny. Płonąca ropa polała się z prądem, zapalając po drodze statki, dopóki, przystanie. Na szczęście było jej niewiele i pożar sam wkrótce wygasł. Inaczej katastrofa przybrałaby charakter żywiołowego kataklizmu.

Ale i pożary położonych na wodzie objek-

tów bywają groźne. Wprawdzie środek zwalczania ognia jest tuż, ale za to zwalczanie, ze względu na dostęp znacznie trudniejszy, niż na lądzie, bywa zadaniem nielada. Bo i jakże zwalczać ogień wewnątrz płonącego okrętu, albo w wysuniętych na ciasnym molu dokach czy magazynach?

Ileż to statków spłonęło na morzu na skutek zaprószenia ognia lub samozapalenia ładunku węgla, bawełny, wapna, i t. d. Ileż innych musiało wzywać pomocy i dopiero przybyłym na ratunek okrętom udało się opanować pożogę. Niedawno spłonął francuski parowiec pasażerski „Azja”. Kilkuset pielgrzymów znalazło śmierć w płomieniach, lub też zostało poparzonych.

Jeden z największych i najszybszych parowców świata, niemiecki „Europa”, zapalił się jeszcze w czasie budowy i połączonym strażom ogniowym udało się z trudnością uratować go od całkowitej zagłady. Los jeszcze tragiczniejszy spotkał parowiec pasażerski „München” w porcie nowojorskim. Ratunek okazał się bezskuteczny i „München” zatonął. Nieco szczęśliwsi byli Francuzi z olbrzymami

transatlantyckimi „France” i „Paris”. Pożary udało się w porę ugasić, jednak straty były i tak bardzo dotkliwe.

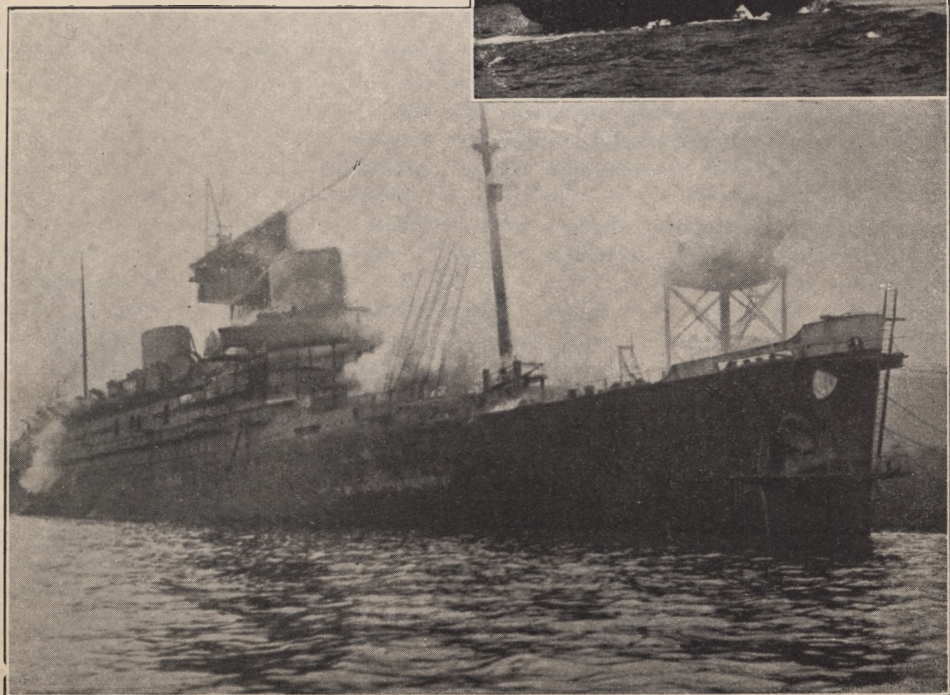
Na „Paris” wynosiły z górą 80 milionów franków.

Cóż dopiero powiedzieć o pożarach na okrętach wojennych w czasie walki. Mimo, że pozornie na okrętach takich nie ma łatwopalnych materiałów, palą się one nie gorzej od innych. Płoną hamaki wydzielając swąd nieznosny, płonie farba, nakształt ognistego deszczu kapiąca na głowy marynarzy, płonie linoleum chodników, niemiłosiernie parząc stopy, płoną różne drobne „nieobliczalne” przedmioty. Dostęp zaś do ogniska pożaru jest, ze względu na gryzący dym i ciasnotę miejsca, zupełnie niemożliwy. Nie mówiąc już o tem, że zwykle wodociągi i węże pożarnicze są przerwane, i wodę trzeba czerpać ręcznymi pompami.

W bitwie pod Jutlandem, pożary na okrętach wojennych szerzyły się przez kilka lub

kilkanaście nawet godzin. Na krążowniku „Warrior” udało się dopiero ugasić ogień po spuszczeniu na linie, od zewnętrznej strony kadłuba, marynarza z wylotem sikawki. Na niektórych okrętach trzeba było zatopić pło-

Statek przeciwpożarowy w porcie Nowojorskim



Pożar wielkiego transatlantyka niemieckiego „Europa”



Pożar zbiorników nafty w New-Yorku



Spalony parowiec oceaniczny „München”

nące komory. Nie zdążono tego uczynić na innych — i te wyleciały w powietrze — zwykłe z całą załogą. Czy może być coś straszniejszego, jak pożar w magazynie amunicji?

Pod Dardanelami francuski pancernik „Suffren” ocalał tylko dzięki przytomności umysłu maty¹⁾ Lanuzel. Kiedy wyrzucona w dół siłą pocisku nieprzyjacielskiego, płonąca gilza armatnia wpadła do komory amunicyjnej (zamieniając po drodze na papiół z dwunastu ludzi złożoną obsługę baszty), Lanuzel w mig zorientował się w położeniu. Wyoście się! — wrzasnął na swych towarzyszy, a sam pozostał odkręcając odpowiednie kingston²⁾. Dopiero gdy czerwone płomienie poczęły gasnąć w nabiegającej ode dna wodzie, Lanuzel zamknąwszy przegrody wodoszczelne, wyszedł zarportować dowódcy. Ocalał okręt i 650 ludzi.

¹⁾ Kapral w marynarce.

²⁾ Urządzenie do zapalania poszczególnych części okrętu.

Do zwalczania pożarów w portach, prócz środków zwykłych, istnieją wodne straże ogniowe. Rozporządzają one specjalnymi statkami pożarniczymi. Są to zazwyczaj silne holowniki, uzbrojone w kilka lub kilkanaście wylotów, a nawet w ruchome maszty, ze szczytu których można dowolnie kierować strumieniami wody. Statek taki odgrywa rolę potężnej parowej sikawki, może swobodnie poruszać się po kanałach portowych i wzdłuż nadbrzeży, a wody nie brak mu oczywiście nigdy. To też moc takiego okrętu-pompy jest znacznie większa od najpotężniejszej sikawki lądowej, do której wszak trzeba doprowadzić wodę węzami (często z dość odległych miejsc) i której wydajność jest z konieczności ograniczona.

Mimo tak potężnych środków przeciwogniowych, pożary w portach trawia nieraz całe nadbrzeża wraz z magazynami, dokami, okrętami. Zdjęcia nasze przedstawiają szereg takich momentów.

Nemo



Zwodnicze kamienie

Zależność życia zwierzęcego od roślinnego, jako swego pośredniego lub bezpośredniego źródła odżywiania, z drugiej zaś strony walka o zachowanie gatunku roślin musiały doprowadzić do całego szeregu zmian w ustroju rośliny, już to jako wyraz przystosowania się, już jako wyraz obrony.

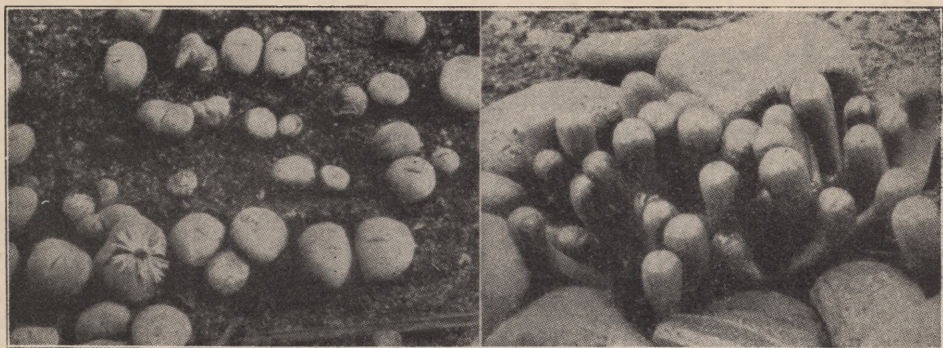
Jakimi środkami walczy roślina z żarłocznością zwierząt? Pomimo stałego dziesiątkowania roślin przez zwierzęta roślinożerne, zachowała się jednak moc rozmaitych form roślinnych. Stało się to dzięki środkom obrony, jakimi posługuje się roślina: trucizny, różne substancje gorzkie, rafidy (ostre igiełki szczawianu wapnia) ciernie, kolce, odurzający zapach. Rośliny bezbronne przyjmują często postać innych roślin konstytucyjnie uzbrojonych.

Rośliny mają się sposobów jeszcze bardziej wyrafinowanych, by ująć żarłoczności zwierząt. Oto podszywają się pod tło otoczenia, zlewają z niem w kolorycie, nieruchomieją zda się w martwocie, i tylko wytryskające tu i owdzie barwne kwiecie zdradza ukryte życie.

Rozpalone żarem słonecznym, skaliste okolicie Afryki rozwesela skromny kwiat *Mesembryanthemum*. Kryje się ta zmyślna roślina pod postacią zwalisk kamiennych, lub wije splotami odłamków skał, a nawet oszpeca wyglądem ekskrecyj ptasich, aby tylko nie wpaść w oko czyhającym nań zwierzętom, dla których stanowią szczególnie smaczny kąsek, przez swą nagromadzoną wodę.

W Europie rozpowszechniło się już wiele





gatunków tych ozdobnych wegetujących kamieni. Hoduje się je w doniczkach, latem w ogrodzie, a zimą w cieplarni. Ogrodnicy sieją je lub przeszczepiają, gdyż wtedy kwitną już w pierwszym roku.

Oto kilka okazów:

Najwcześniej zawitał do Europy gatunek *Mesembryanthemum testiculatum*. Posiada piękny, żółty kwiat i 6—8 grubych, gładkich wypukłych, niebiesko-zielonych liści.

Mesembryanthemum rhopalophylla wygląda jak małe maczugi i wśród kamieni zdoła oryginalnie brzeg alei.

Złoto-żółty kwiat *Mesembryanthemum si-*

mulans rozwija się wśród 2—3 grubych liści i stanowi wspaniałą ozdobę podszycia.

Żółty kwiat *Mesembryanthemum tigrinum* siedzi niby w stateczku wśród swych mięsistych, zakrzywionych w kształcie dzioba liści.

Mesembryanthemum Wettsteinn układa się jak kamienie, co daje raczej złudzenie plaży, niż ogrodu.

Wdzięczną i oryginalną dekorację temi roślinami zdobywa się małym trudem, należy je tylko podlewać w upalne dni.

Anna Gayerówna

Od Redakcji

Konkurs p. t. „Mój wierny pies”, ogłoszony w Nr. 71 „Naokoło Świata” niestety zawiódł oczekiwania redakcji i nie wywołał szerszego zainteresowania, gdyż nadesłano zaledwie 3 fotografie. Wobec tego sympatyczny ten konkurs zostaje niżej odwołany.

Nadesłane materiały zostaną autorom zwrócone.

REDAKCJA

„NAKOŁO ŚWIATA”



Wieża z żelaznej koronki

Napisał:

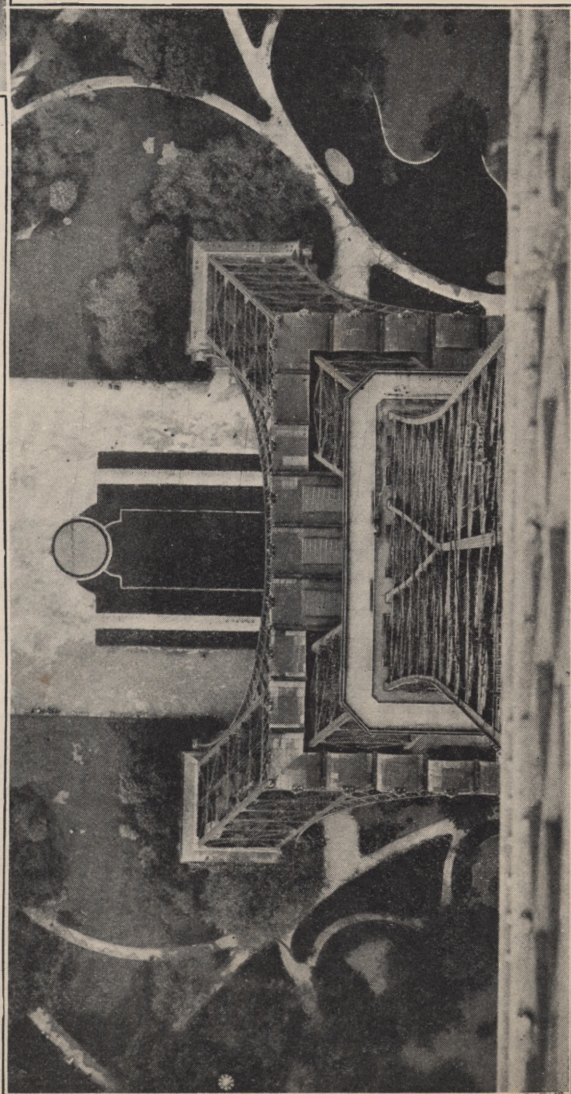
B e s t

Minęło już trzydzieści lat od chwili, kiedy genialny Eiffel mógł rzucić zwycięskie i potężne w swojej prostocie słowo: skończyłem.

Wspaniały, trzystumetrowy kształt rzucił dumny cień na marsowe Pola, zadziwił Sławę, której skrzydlata statua na gmachu sąsiedniego Trocadera z zaciekawieniem obserwowała budowę, a kiedy nadszedł dzień otwarcia Wielkiej Międzynarodowej Wystawy w 1900 roku, setkom tysięcy ludzi złożyły się ręce do oklasku na cześć twórcy i dzieła.

Inżynier Eiffel dowiódł światu, że genjusz francuski może się wzniesić, dosłownie biorąc, wysoko ponad poziomy!

Trzystumetrowa kolumna strzeliła w powietrze, koronkowe wiązania zaiskrzyły się niezliczonymi gwiazdami elektrycznych lamp, zagrały orkiestry na platformach, dzielących kondygnacje wieży — i na samym szczycie, godzącym dumnie w niebo zapaliła się latarnia.



Z ostatniego piętra wieży ludzie wydają się małymi punkcikami

Na firmamencie niebieskim zapaliła się jeszcze jedna gwiazda pierwszej wielkości: Eiffla!

Napróżno chcieli i chcą ją zagasić technicy amerykańscy, pchani ambicją posiadania na ziemi Nowego Świata gmachu, którego dach wznosiłby się ponad wszelkie dzieła, będące efektem pracy rąk ludzkich, napróżno — dotychczas — usiłują wznieść mury, któreby odebrały wieży Eiffla sławę najwyższej budowli na świecie.

Może im się to uda i stanie stu i iluś piętrowy drapacz nieba, potężne cielsko wzniesie się wyżej, niż na trzysta metrów ponad poziom ziemi, ale czyż naprawdę odbierze taki gmach rozgłosną sławę wieży Eiffla?!

Poezja pozostanie zawsze poezją, a napróżno będącieny szukać tchnienia romantyzmu, subtelnego połą-

czenia ambicji twórczej z pięknem, w pełnych rozmachu techniki dziełach amerykańskich architektów.

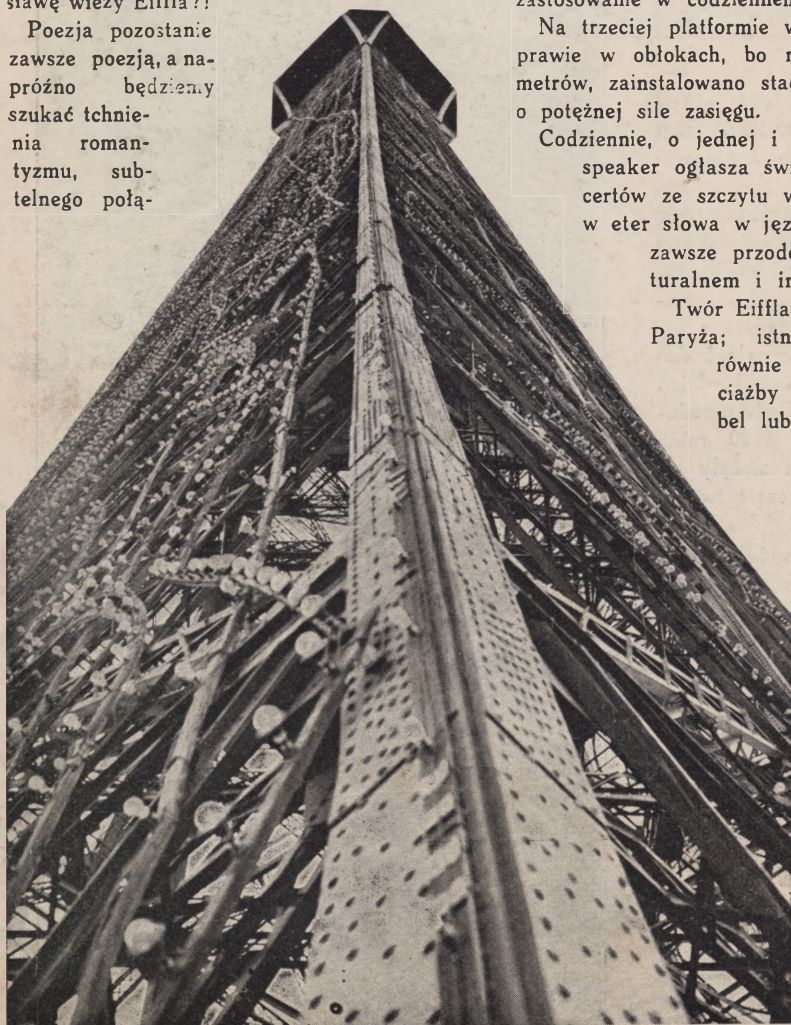
I tu właśnie leży niespożyty urok, jaki wywiera na każdego wieża Eiffla; nie przygniata ogromem — a jest największa, nie ciąży ku ziemi — ale strzela w niebo wspaniałą, wysmukłą linją, wznosi coraz wyżej koronkowe plecionki spojeń.

Nie przypuszczał napewno Eiffel, że jego dzieło, mające całemu światu pokazać, na jakim poziomie stoi technika w kraju, który wydał już znakomitego inżyniera, nieśmiertelnego twórcę kanału Sueskiego — Lessepsa — spełni nietylko swoje zadanie propagandowe, ale znajdzie również praktyczne zastosowanie w codziennym życiu.

Na trzeciej platformie wieży, wiszącej już prawie w obłokach, bo na wysokości 276 metrów, zainstalowano stację radio-nadawczą o potężnej sile zasięgu.

Codziennie, o jednej i tej samej godzinie speaker ogłasza światu program koncertów ze szczytu wieży Eiffla, i leżą w eter słowa w języku narodu, który zawsze przodował w życiu kulturalnym i intelektualnym.

Twór Eiffla jest dumą i sławą Paryża; istnieją lub istniały równie sławne wieże, chociażby biblijna wieża Babel lub pochyła piękność w Pizie, ale żadna z nich nie była otoczona taką sympatją i przywiązaniem. Wieża Eiffla to symbol Paryża, to widomy znak tego, że miasto to jest



*Miedzy
drugim
i trzecim
piętnem*

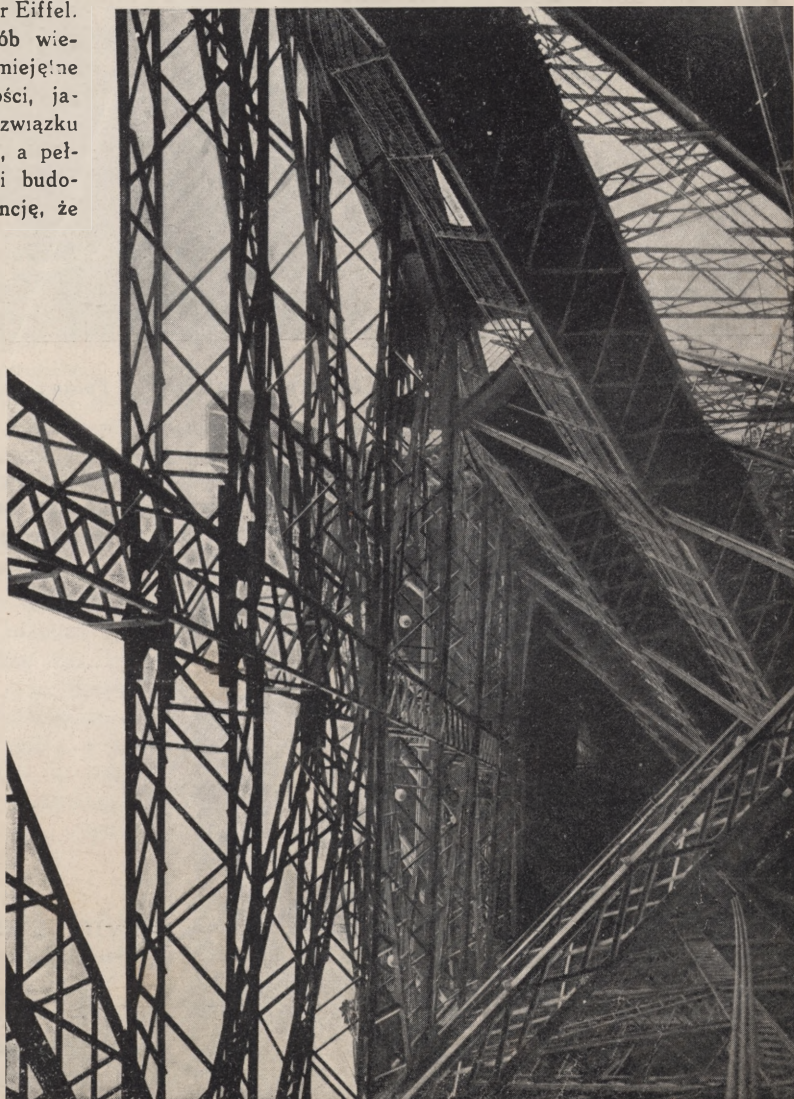
stolicą świata, że tu się łączy w harmonii ogrom i piękno, technika i sztuka, stojąca na wyżynach najwytworniejszego arcyzmu.

Nieprędko zapewne nadejdzie dzień, w którym dla jakichś ważnych i koniecznych powodów wieża Eiffla będzie poddana rekonstrukcji lub całkowitej niwelacji, i nie chce się jakoś wierzyć ostatnim wiadomościom, które mówią płochliwie o tem, że żelazny kolos powoli ale systematycznie wgniata się w ziemię, i że dzisiaj faktyczna wysokość wieży różni się znacznie od tej, którą wykreślił na swoich planach inżynier Eiffel.

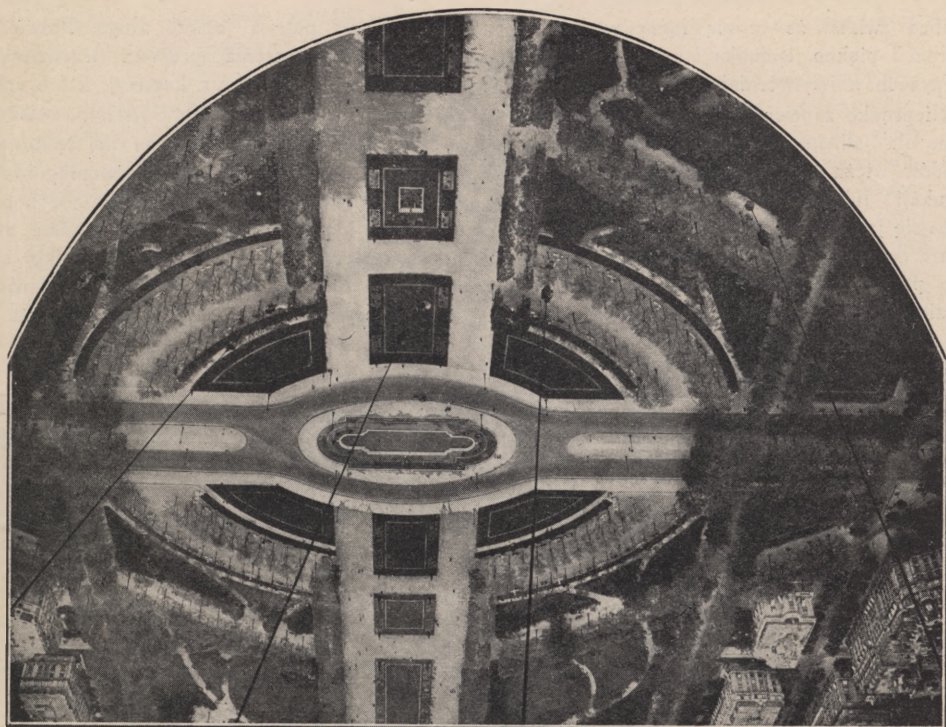
Niepospolity zasób wiedzy technicznej, umiejętnie rozwiązanie trudności, jakie nasunęły się w związku z tą monumentalną, a pełną, polotu i finezji budową — daje gwarancję, że

dzieło Eiffla potrwa jeszcze długo. Potwierdza te przypuszczenia probierz trzydziestu przeszło lat, i orzeczenia komisji, które rok rocznie badają fundamenty i spojenia wieży.

Eiffel dowiódł pogładowo, że nie tylko w starożytności igrał człowiek z kamieniem i żelazem, tworząc fantazyjne, zadziwiające konstrukcje. Jego wieża, słusznie zaliczona do najwspanialszych dzieł techniki, nie tylko ubiegłego stulecia, ale i wszystkich czasów jest jeszcze jednym dowodem, jak nieograni-



*Patrząc
z dołu
widzi się
tylko
niesamowite
żelazne
wiązania*



Radjowe kable do uziemienia łączą ostatnie piętro z Polami Marsowemi

czony jest zakres możliwości ducha ludzkiego — i tego, jak ściśle związane są zagadnienia techniki i sztuki.

Załączone fotografie przedstawiają ogólny

widok wieży, widok z pierwszej platformy, rzut oka z lotu ptaka, widok z dołu, oraz wiązania bocznej płaszczyzny.



Kaprysy sławy

napisał
Wacław Husarski

W jednym z ostatnich zeszytów czasopisma niemieckiego „Uhu” Paul Westheim zastanawia się nad bezwartościowością sławy doczesnej, wymieniając szereg artystów, których dzieła budziły u współczesnych najwyższy zachwyt i podziw, a którzy dzisiaj, w kilkadziesiąt, czasem zaś w kilka zaledwie lat po śmierci zostali najzupełniej i najgruntowniej zapomniani.

Westheim wymienia dzieła, przed którymi w adoracji stawały niegdyś tłumy, a które dzisiaj butwieją w składach i podziemiach muzeów; wymienia takie, które na międzynarodowych wystawach osiągały ceny, dochodzące setek tysięcy, a które obecnie z trudem wogóle znalazłyby nabywców choćby za najskromniejsze pieniądze. Liczne przezeń przytoczone przykłady są ciekawe, ale mało pouczające; świadczą one co prawda o zmienności i przemijalności sławy, niewątpliwie jednak każdy artysta cieszący się uznaniem, wierzy święcie, że uznanie to po śmierci stanie się nieśmiertelną chwałą.

To też bardziej może budujące będzie przypomnieć tych, którzy przez długie lata, nie raz przez życie całe, borykać się musieli z niezrozumieniem, z szyderstwem, z nędzą, a którzy dzisiaj zaliczani są jednogłośnie do najświetniejszych przedstawicieli swojej epoki.

Artystów takich, na przeszczerzeniu ostatnich choćby lat kilkadziesiątu, możnaby wymienić dziesiątki, i to z pomiędzy największych. Istniały całe kierunki artystyczne, dzisiaj uznawane za rewelację, a które przez współczesnych uważane były za ekscesy obłąkańców.

Do kierunków takich należał impresjonizm. Większość jego przedstawicieli doczekała się sławy i powodzenia u schyłku życia dopiero — a dożyli wszyscy prawie sędziwej starości; byli jednak i tacy, którzy zeszli do grobu, zrozumiani jedynie przez niewielkie kółka znawców.

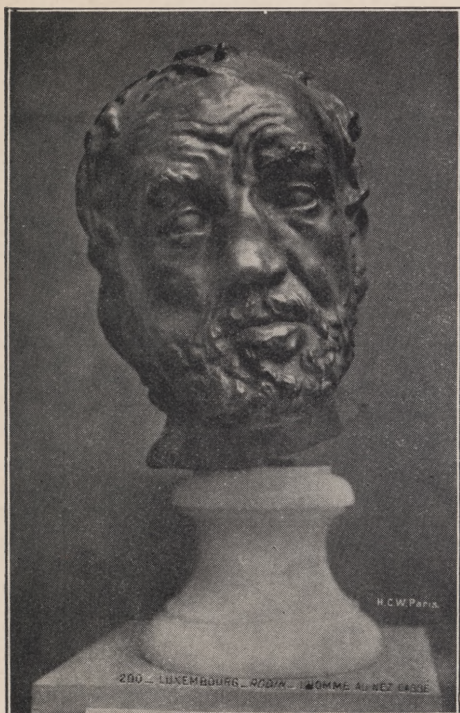
Tak więc Edward Manet (1833—1883), prekursor impresjonizmu, uważany był za szaleńca, lub oszusta, spekulującego na oryginalności, — aż do śmierci, która nastąpiła w 50-tym roku życia. Manet był na szczęście człowiekiem więcej niż zamożnym, tragedia jego była więc tylko tragedją niezrozumianego artysty.

Smutniejszy był los drugiego poprzednika sztuki impresjonistycznej, Pissarra (1830—1903). Długie jego życie, zmarł bowiem, mając lat 73, było jednym pasmem cierpień i udręki. Bez majątku, obarczony liczną rodziną, doczekał się jakiego takiego powo-



Dziewczyna z owcami

C. Pissarro



Człowiek ze złamanym nosem

A. Rodin

dzenia dopiero na kilka lat przed śmiercią, już jako starzec, trawiony nieuleczalną chorobą. Dzisiaj nieliczne jego dzieła, znajdujące się jeszcze w handlu, mają wartość setek tysięcy; oglądając je zaś, trudno domyśleć się, co tak bardzo dziwnego i niezrozumiałego znajdowali w nich jego współcześni.

Podobny był los innych impresjonistów. Lisley (1839—1899) zmarł w nędzy i zupełnie nieznan; Degas (1834—1917) dzięki swej długowieczności doczekał się naprawdę sławy, ale na obrazach jego robili majątek inni, ci, którzy byli dostatecznie przewidujący, by kupować je w odpowiednim czasie; artysta bowiem, rozgoryczony kilkudziesięcioletniem niepowodzeniem, ostatnimi czasami dzieł swoich nie tylko nie wystawiał i nie sprzedawał, ale nawet nie pokazywał nikomu, oprócz najbliższych. Mógł sobie zresztą na to pozwolić, był bowiem synem bankiera, po którym odziedziczył ogromną fortunę.

Z pośród największych artystów swego pokolenia Claude Monet (1840—1926) doczekał się uznania gdzieś koło 60-go roku życia; na szczęście miał czas nacieszyć się nim, żył bowiem lat 86. W tym samym mniej więcej wieku zdobył sławę Renoir, uważany dzisiaj za jednego z największych artystów, jakich wydała Francja.

Te pomyłki, popełniane przez współczesnych przy ocenie dzieł, choć trochę odstępujących od szablonu, wydają się nam niekiedy, z oddalenia lat kilkudziesięciu, wprost niezrozumiałe. Niepojęte wydaje się naprzykład, że Puvis de Chavannes (1824—1898), świetny akademik o nieposzlakowanym rysunku, wielbiciel i kontynuator tradycji klasycznej, dochrapawszy się w roku 1850-ym przyjęcia jednego obrazu do Salonu, musiał potem przez 9 lat czekać na powtórzenie się tego zaszczytu.

Na szczęście spory dziedziczny majątek był mu solidną podporą przy tych wprawkach cierpliwości. Gorsze było nierównie położenie Rodina (1840—1917), wielkiego Rodina, którego nie wahano się u schyłku życia zestawiać z Michałem Aniołem. W początkach kariery artystycznej poglądy na jego sztukę były jednak nieco inne. Pochodząc z rodziny ubogiej, Rodin zarabiał na życie, jako wyrobnik - dekorator. Uciulawszy nieco grosza, wynajął na krańcach Paryża zrujnowaną stajnię o zaciekającym dachu, żeby tam wykonać swego „Człowieka o złamanym nosie”. To arcydzieło odrzucone zostało przez jury Salonu w roku 1864, grzebiąc nadzieje artysty i pogrążając go na długie lata w nędzy bezimiennego wyrobniczego bytowania. Pracował, jako rysownik, w sewskiej fabryce porcelany, potem zaś, jako sztukator, w Brukseli, zdobiąc fasady ówczesnych potwornych kamienic. Nie dawał jednak za wygraną. W godzinach, kradzionych tej robocie, wykonać zdołał następne swe wielkie dzieło, mianowicie słynny dzisiaj „Wiek spiżowy”. Praca ta, która pochłonęła osiemnaście miesięcy, odrzucona została również przez sędziów Salonu, którzy w dodatku oskarżyli artystę o fałszerstwo, mianowicie o wykonanie odlewów z natury.

Życie tych artystów było jednak bardzo jeszcze szczęśliwe w porównaniu z tem, co przecierpiał taki Cézanne (1839—1906), po-

*Martwa natura**P. Cézanne*

śmiewisko swego rodzinnego miasta Aix; z tem, co przeszedł Gauguin (1848—1903), zmarły w zupełnem opuszczeniu na wyspach Markizów, lub Van Gogh (1853—1890), sprzedający swoje obrazy po 5 franków, żeby nabyć płótno i farby do następnej pracy, i który, doprowadzony warunkami życia do oblędu, w momencie powrotu świadomości skończył samobójstwem.

Henri Rousseau, zwany celnikiem, (1845 — 1910), był do końca życia pośmiewiskiem. Podczas jakiegoś procesu jego adwokat zaprezentował sędziom obraz swego klienta, żeby dowieść jego nieczytelności. Po śmierci artysty cała jego pracownia była do nabycia za 2000 franków — i dosyć długo czekała na amatora. Dzisiaj ten zadziwiający nowoczesny prymityw uważany jest za jednego z twórców sztuki najnowszej.

Wymieniłem tu artystów francuskich, lub we Francji pracujących, sztuka bowiem francuska w ostatnich kilkudziesięciu latach zajmuje stanowisko przodujące, a wzmiankowani artyści są ogólnie dzisiaj czczonymi odkrywcami nowych prawd. Te same jednak nieporozumienia znajdujemy i w innych krajach.

Znajdujemy je w sporej obfitości również i w Polsce. Jeden z największych malarzy naszych, Aleksander Gierymski (1849—1901), którego dzieła kupuje się dzisiaj, obliczając

wartość w tysiącach dolarów, dla zaznaczenia powagi transakcji, zmarł w ostatecznej nędzy. Chełmoński (1850—1914), w późniejszych latach taki sławny, nie był zbyt daleki od głodowej śmierci w czasie, kiedy malował swoje „Babie lato”. Marjan Wawrzeńcki przytacza fragment listu jego ciotki Marii z Chełmońskich Siateckiej, następującego brzmienia: „Nasz biedny malarz pisał niedawno, że położenie jego smutne, zarobku niema, a jeść się chce, i te obiady w Dobroczynności, które wyrobić dla niego przyrzekał mi p. Łęski, jakoś nie

dopisały. Tylko Mina zasila go suchymi bułkami, które od jej potrzeby zbywają”. Przykro pomyśleć, co by się było stało z „naszym biednym malarzem”, gdyby przestały dopisywać i te suche bułki, zbywające od potrzeby miłosiernej Miny.

Przytoczyłem tu artystów, których sława

*Kobieta kołysząca**V. Van Gogh*



Flamingi

H. Rousseau

przyszła ku końcowi życia, lub przynajmniej wkrótce po zgonie. Nietaska sławy trwa jednak nieraz o wiele jeszcze dłużej. Grünewald, genialny malarz niemiecki z pierwszej połowy wieku XVI-go, „odkryty” został w czterysta prawie lat po śmierci; za życia zaś, obok obrazów ołtarzowych, malował również ławy kościelne, żeby mieć z czego żyć. El Greco (ur. około r. 1550-go, zm. 1614), miał ciągle nieporozumienia z odbiorcami, którzy nie chcieli przyjmować zamówionych przez siebie obrazów, zrażeni dziwaczością wykonania, po śmierci zaś popadł w zupełne zapomnienie, które trwało

trzy bezmała stulecia. Odnaleziono go dopiero w początkach bieżącego stulecia, uznając za jednego z największych genjuszów świata.

Sława miewa wreszcie swoje fazy, swoje przypiływy i odpływy. Quentin de Latour (1704—1788) uważany był przez współczesnych, i słusznie, za jednego z największych potrecistów swojej epoki, to znaczy epoki rokoka. W kilkanaście lat po jego śmierci, w początkach wieku XIX-go, brat jego wystawił na sprzedaż w Paryżu kolekcję jego prac, niegdyś rozchwytywanych. Ale zmieniły się czasy, zmieniły się gusta. W sztuce

Babie lato

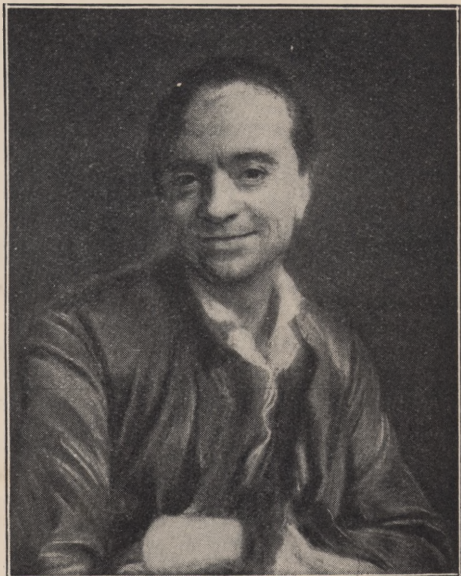


J. Chelmoński

*Święta Rodzina**El Greco*

panowała wszechwładnie moda klasycystyczna, rokoko było w zupełnej pogardzie. Obrazy, podziwiane niegdyś przez najwykwintniejszych znawców XVIII-go wieku, a wiek ten znał się na sztuce, obrazy, które za życia artysty osiągały bajeczną na owe czasy cenę 20.000 franków, nie znalazły te-

raz nikogo, kto by się nimi wogóle zainteresował. I oto po latach kilkudziesięciu — nowa zmiana. Ku końcowi wieku XIX-go rokoko powróciło do łask — i do ceny. Już w roku 1895-ym niewielki pastel Latoura wart był około 10.000 franków. W dwa lata później cena ta potroiła się. W roku 1905 notują sprawozdania z licytacji publicznych przeciętnie 75.000 fr. Dzisiaj wartość tych dzieł jest o wiele jeszcze wyższa, a kolekcja pasteli Latoura w Luwrze uważana jest za jeden ze skarbów tego tak świetnego muzeum.

*Autoportret**M. Latour*



„Lato miejskich ludzi”

Rys. M. Walentyńowicz



HINDUSKI KOŁOWROTEK. NAP. M. DERENICZ

Cicho snujący nitkę kołowrotek wypowiedział wojnę turkocącym maszynom... Drewniane naczynie do warzenia soli wypowiedziało wojnę wielkim salinom morskim...

Kołowrotek i naczynie do warzenia soli — oto dwa symboliczne hasła walki 320 milionów Hindusów z panowaniem Brytanji.

12 marca 1930 roku, Mahatma Gandhi, na czele wielotysięcznych rzesz Hindusów, uroczyście rusza nad zatokę Kambajską; wśród niczem niezmałonej ciszy czerpie naczyniem sól morską. Symboliczny ruch powtarzają w skupieniu zgromadzeni na wybrzeżu...

W liście do wice-króla Indji Gandhi, wśród żądań, dotyczących całkowitej niepodległości Indji, domaga się zniesienia monopolu solnego. Niech każdy Hinduś dobywa soli z morskiej wody i warzy ją sam. Przymus korzystania z „angielskiej” soli musi się skończyć!

3 maja 1930 roku, w nocy, w świetle latarki elektrycznej, szef policji, na czele dwudziestu uzbrojonych policjantów, zbliża się do posłania, na którym śpi Gandhi. Mahatma, czyniąc zadość rytuałowi, wypłókał usta i, biorąc kołowrotek, wszedł na ciężarowe auto, które go miało zawieźć do więzienia...

W tym wieku mechanizmu i kapitalistycznego uprzemysłowienia, nic nie może się wydawać bardziej niezrozumiałem, niż usilna i entuzjastyczna obrona ręcznego przędzenia i tkania, jako środka do wyzwolenia Indji z pod ekonomicznej niewoli. Dlaczego kołowrotek jest tak ważnym czynnikiem bytu Hindusów?

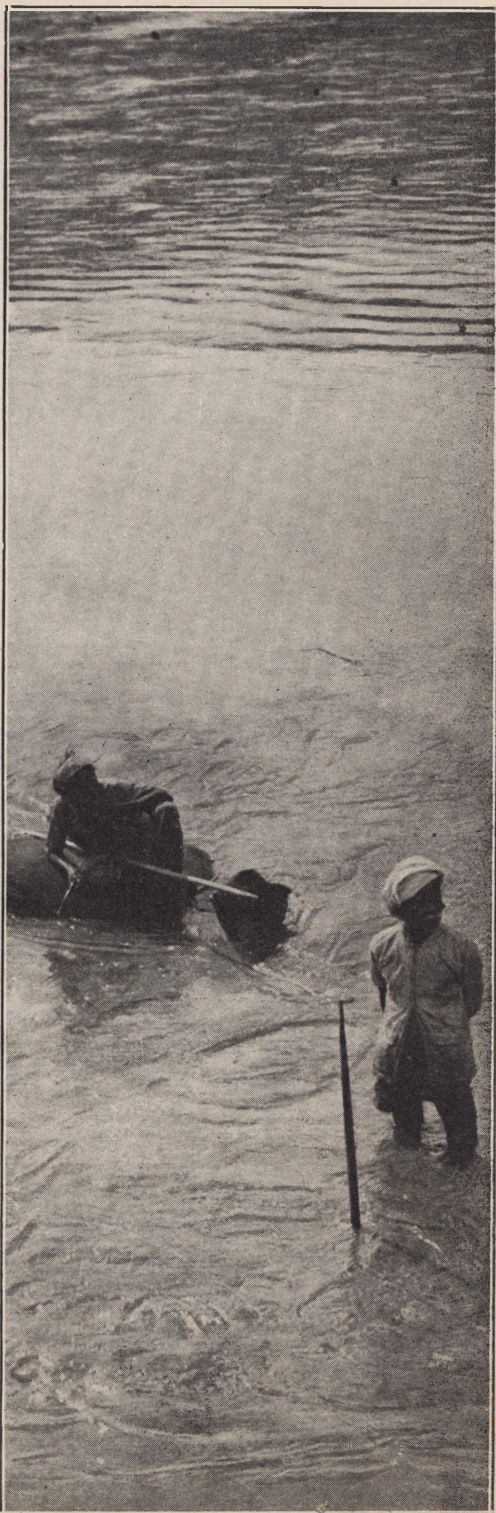
W całych Indjach na 685.665 wsi, jest zaledwie 2 tysiące miast i osad z ludnością 5-ciotysięczną i wyżej. Kolejnictwo odgrywa więc niesłychanie ważną rolę w życiu gospodarczym kraju, nie wystarcza jednak dla

zapewnienia bytu, i dlatego większość rolników zależna jest od tego przemysłu, który Anglicy zabili, a który Gandhi chce znów ożywić. Gdy następuje sucha pora roku, gdy rolnik zmuszony jest siedzieć beczynnie, kołowrotek zapewnia mu zajęcie i pozwala mu w pewnym stopniu powiększyć jego szczupłe dochody.

Cóż więc robią „dobroczyńcy” brytyjscy? Zamiast rozłoczenia opieki nad przemysłem, jako tako zapewniającym Hindusowi skromny byt, nakładają niezmiernie wysokie podatki, umożliwiając kupcom z Lancashire sprzedaż angielskich towarów po cenie niższej od cen krajowych. W ten sposób ten tak ważny przemysł upada, a miliony rolników przymierają naskutek tego głodem. Fala obcych towarów pochłania i zatapia przemysł krajowy.

„Nie podbiliśmy Indyj dla korzyści Hindusów”, przyznają się Anglicy. „Tylko misjonarze na zgromadzeniach wmawiają w biednych Hindusów, że podbiliśmy Idje dla podniesienia ich poziomu. To jest obłuda. Podbiliśmy Indje mieczem i mieczem nad nimi panujemy... A zachowujemy je dla jak najlepszego zbytu angielskich towarów, w szczególności — wyrobów tkackich Lancashire'u. Czyż więc może przemysł hinduski ostać się wobec polityki brytyjskiej?

Każdy yard — głosi Gandhi — tego płótna, którem okrywają swe brązowe ciała Hindusi, może być wytwarzany w Indjach. A co gorsze, aby zapłacić za to płótno, które mogą sami tkać, i za inne towary (między innymi alkohol), których nie potrzebują, wysła się z Indyj ryż i pszenicę z bra-



Kąpiel stoni



ku których miliony Hindusów przymierają głodem.

Jak więc zapobiec tej strasznej nędzy mas? Tylko przez zapobieżenie wyciągania z kraju milionów rupij i zmniejszenie eksportu ryżu i pszenicy. Dokonać tego można przez podział pracy na miliony chat, drogą przywrócenia przemysłu ręcznego. Indyj nie wyratują fabryki i maszyny: one nie zdołają rozdać pomiędzy 250 milionów biednych rolników tych wielu milionów rupij, które są teraz wydawane na importowane obce towary. Głodowi mas może zapobiec tylko przemysł wiejski, a podstawą tego przemysłu jest kołowrotek.

I dlatego kołowrotek przyjął Gandhi za symbol walki, głosząc całkowite uniezależnienie się Indyj od Anglii.

Obok kołowrotka — naczynie z solą: płótno i sól, te codzienne potrzeby, najbliższe hinduskiemu życiu, stały się czynnikami walki politycznej z obcą przemocą, stały się symbolem wyzwolenia Indyj z pod zależności ekonomicznej, politycznej i kulturalnej.

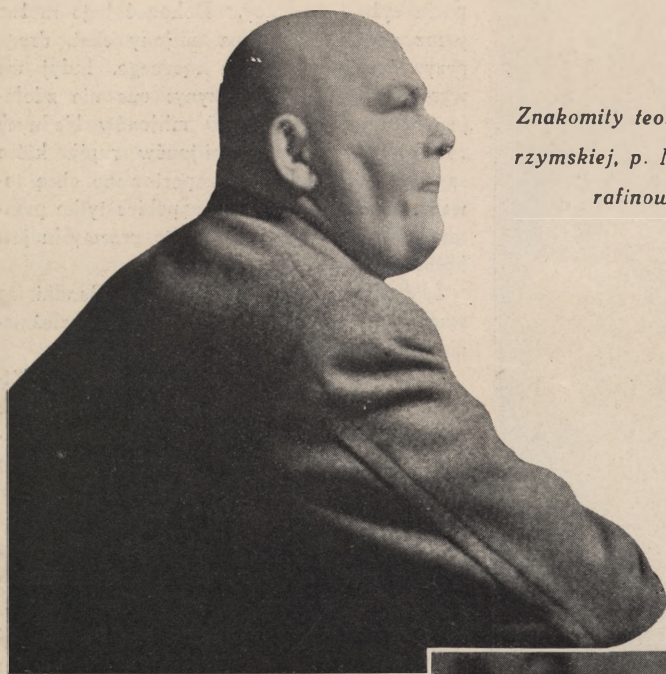
By osiągnąć to wyzwolenie, Mahatma Gandhi rzucił milionowym rzeszom Hindusów zew do walki „bez oporu”. Sam, wierny swej zasadzie, nie opierając się, poszedł do celi więziennej, wzburzył jednak umysły swych rodaków, dziś już „opornie” walczących o niepodległość.

Drewniany, słaby kołowrotek walczy ze stalową, miazdzącą maszyną... Kiedyś słaby Dawid powalił pociskiem z procy olbrzymia filistyńskiego, jutro potężne maszyny brytyjskie może zatrzymać cienka nitka hinduskiego kołowrotka...

W Indjach tor kolejowy używa się nieraz jaką najwygodniejszą drogę

Widowisko na widzowni

Migawki cyrkowe



*Znakomity teoretyk i miłośnik walki grecko-rzymskiej, p. Melchjor Kotlet, przeżywa wy-
rafinowane rozkosze wzrokowe.*



*Mięśnie atlety prężą
się, jak stalowe liny.*

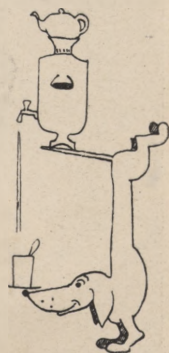
*Pani Ajwajerkuchen zaciska ner-
wowo ręce:*

*— Moryc, Moryc, on jest extra-
fenomenalny!*





*Cudowny piesek, Azorek, wywołuje
uśmiech na twarze przysięgłych
melancholików.*



*Młody słoń igra piłką z przysłowiowym
wdziękiem oddźwięk na widzowni żywy
i bezpretensjonalny*



*Mister Koko rzucił
okiem na parter:
wzrok jego spotkał
pana z pierwszego
rzędu
Efekt piorunujący*





— „To jest artysta, parole d'honneur—artysta w swoim rodzaju! nieprawdaż, Stel!?”—



Wymowa spojrzeń jest złośliwa: oto typowy przykład, pełen expressji, nie wymagający chyba komentarzy



„Matko Boża—co za uzębienie!” — Myśli pan Dłubnicki, znamienity odontolog—



Miss Jane! Miss Jane!



Królowa
wołyżerek.

Któż patrzy
na konia...



„Ona się na ciebie patrzy!..
Nie uśmiechaj się tak głupio...”



Smutny to, fach —
łykanie ognia...



Lato ekranowych bogów

Napisał:

J. Borycki

Fot. Paramount i M. G. M.



Jest rzeczą stwierdzoną, jak dobroczynny wpływ na zdrowie i cały organizm ludzki wywiera słońce. Ludzie duszący się w ciężkiej atmosferze wielkich miast z setkami kominów fabrycznych, tysiącami aut i innych „urządzeń” dzisiejszego życia, szukają odpoczynku i wytchnienia oraz czerpią siły i energię do dalszej pracy na wolnym powietrzu.

Nigdzie jednak kult powietrza i słońca nie jest tak wielki, jak w stolicy filmu — Hollywood.

Gwiazdy filmowe doskonale zdają sobie sprawę z tego, że utrata młodości i świeżości jest równoznaczna z utratą zajmowanego stanowiska w świecie filmu, starają się wszelkimi środkami zachować jak najdłużej swą formę fizyczną, swą młodość i urodę, i wiedzą doskonale, że najbardziej radykalnym na to środkiem jest słońce i sport.

Mieszkańcy Hollywood, bez względu na to jakiej są religii, czczą wszyscy bez wyjątku jedno bóstwo — słońce.

Gdy tylko skończy się okres zimowych burz, i potoki światła i ciepła zaleją białe płaszczyzny piasku na morskiem wybrzeżu, mieszkańcy Hollywood opuszczają tłumnie

miasto, aby na plaży kąpać się w potokach promieni słonecznych.

Im dłuższe dni, im słońce cieplej grzeje, tem ciemniejsze stają się gwiazdy Hollywood'u.

Clara Bow, ulubienica całego świata, jest jedną z najbardziej entuzjastycznych kapłanek słońca. Co roku postanawia ona nie opalać się już tak bardzo, jak ubiegłego lata, i używa wszelkich możliwych maści i płynów, aby się uchronić przed niepożądaną opalenizną. Posiada ona, jak zresztą wszystkie prawie rudowłose, niezwykle delikatną i wrażliwą cerę, która wystawiona na działanie promieni słonecznych, reaguje w sposób przykry i bolesny. „Tym razem jednak — powtarza co rok Clara — słońce nic mi złego nie zrobi. Zeszłego lata byłam tak bardzo opalona, że słońce nie może mi już zaszkodzić. Przyzwyczaiłam się już. A zresztą tego roku chcę tylko „żdziebełko się ubronzować i nic poza tem”.

Jednak co rok powtarza się to samo. Po swej pierwszej kąpieli słonecznej na plaży, Clara nabawia się przykrego oparzenia, trwającego kilka dni. W atelier wiadomo już z góry, że po pierwszym słonecznym dniu Clara

Los ciotki BANANY



Wiadoma rzecz, że wyśmiane są wszystkie stare ciotki w rodzinie. Nie wiadomo nawet dobrze: o co chodzi? za co? dlaczego? Ale przypomnijmy sobie tylko, ta, tamta, u nas, u nich, u tamtych.

To samo w domu Biedozdomskich. Co właściwie może szkodzić w „przestronnem” dwupokojowym z kuchnią i korytarzem (bez wanny) mieszkanku — puciołowata, wesoła obecność ciotki Antosi? Przecież pomaga zamiatać, odrabia francuski (to dopiero język!) z trzecioklasistą Bolciem, kiedyś skracala, teraz podłuża co wieczór wszystkie sukienki Maniusi (wiek szkolny, zdolności mierne); ileż razy posyła się ją do elektrowni odroczyć ostateczny termin, a ileż razy drepcze, smagana nieraz śniegiem i wichurą, na Chmielną do Bogozbojskich — pożyczyć do pierwszego...

A jednak, dzień w dzień są awantury. Ciotka wypala elektryczność, ciotka nie ma pojęcia o Konstytucji, o wszystkim ma swój własny, zupełnie odmienny sąd, codzień się myje cała w zimnej wodzie (tego specjalnie nie może jej darować Bolcio), ciotka ma wreszcie pretensje do świata, poprostu do małżeństwa, gdyby naturalnie to było możliwem tak, jak jest nie do pomyślenia!

I taki stan rzeczy może trwać nieraz i trwa — całe lata. Oto Biedozdomski, sam, ledwie uczepony jakiegoś ministerstwa, połowę swojej pensji puszczający z dymem 40 do 60 papierosów monopolowych dziennie — sprowadził nieodżałowanego czasu ze wsi swą najmłodszą siostrę Antosię, aby ta innym trzem siostrom pozostałym przyniosła ulgę w budżecie, a tu, niosła pomoc i drobne uczynki, drobne sprawunki i cerowanie — w jego domu.

Hm, lecz nie zasługuje przed niebem za dobry uczynek zaopiekowania się samotną starą panną zdobył — ale piekło.

Żart na stronę. — Ciotka wniosła jakiś niebywały zamęt do tego domu, w którym i tak masę było niedokładności czysto administracyjnych. Przedewszystkiem, nikt nie przypuszczał, że przywiezie ze sobą wszystkie trzy swoje ulubione poduszki, becik i ogromną, lekką, jak puszek do pudru

kołdrę (mój Boże i na co jej to, czy nie lepiej, żeby to odłożyła na wyprawę Maniusi!). Dalej, nikt nie podejrzewał, że nie zechce spać na polowym łożku Stasia, porucznika artylerji, przemilego chłopca, którego swego czasu rodzina, wspólnym wysiłkiem, nieźle ożeniła tak, że mógł jej rozdać w następstwie i przez złote serce, cały swój sprzęt kawalerski, razem z tysiącem figlarnych wspomnień... Jedna ciotka tylko miała widocznie jakąś specjalną „intuicję”, zresztą, wprost te przebrzydłe staropanieńskie „zasady”, że: „Nie i nie! Ani jednej godziny, ani jednej minuty na tem łożu nie spocznę! Ja będę spać w stołowym na kanapie!” Z początku, jak to zwykle, robiło się to i niejedno jeszcze ustępstwo, a później przyszła zwykła rezygnacja: niech się dzieje, co chce i tak już tego, co było przed wojną, nigdy nie będzie! Inna rzecz, że pani Biedozdomska zamęczała po cichych nocach swego męża za nieznośny charakter jego siostry. Lecz, czy może ktokolwiek na świecie wytłumaczyć rozgoryczonej, chorej na kamienie żółciowe kobiecie, że on tu przecież nie był winien — to tylko błąd jedyny, że Antosia nie wyszła w swoim czasie za męża. I tem miała się pocieszyć kobieta, która wyszła w swoim czasie za męża (coprawda, można było się tak nie śpieszyć!) i nie mieści jej się w głowie sytuacja innej kobiety, wolnej od obowiązku karcenia dzieci i ileż razy męża!

Cierpiała więc dla tych dzieci dalej, a ciotka robiła swoje.

Kiedy siadano do śniadania, ciotka się jeszcze myła, kiedy jeszcze siedziano przy kolacji, ciotka się już myła. Oprócz tego myła ciągle swoje okno w stołowym pokoju, „liście żelazne” potwornego krzewu na beznogiej etażerze w rogu, obrazek święty (olejny Pan Jezus w girlandzie „nieśmiertelników”, trzy lata temu zerwanych w rodzinnym ogródku pod Lublinem), myła zaraz po służącej ceratę na stole, kazała przed, po, po i przed myć ręce Bolciowi, na noc myć zęby Maniusi. Już samo to było nieznośne. A potem — to czytanie po nocach zawsze z tą samą systematyczną zachłannością, z jaką tylko Bolcio mógł iść w zawody, zapychając się Mayem i pożerając Coopera, albo Maniusia, która czytała jednocześnie początek „Dziejów Grzechu” (pod kołdrą), środek „Trędowatej” (na rysunkach) i koniec „Krzyżaków” w domu przy ogólnym stole. Wreszcie, najstraszniejsze — ciotka obciążała sobie włosy...

Pewnego wieczora, wstawiając granatową łatę na szkolnem siedzeniu Bolcia, powiedziała śmiało, coprawda nie podnosząc oczu: „Jak sobie chcecie, ja tam idę za postępem czasu”. I rano następnego dnia, po Mszy św. na intencję zbiorów w Lubelskiem, poszła do fryzjera ściąć kusy i szanowny warkoczyk... I nie było może nic bardziej bolesnego w tem wszystkim dla pani Biedozdomskiej specjalnie, jak przyznać w duchu, że ciotce było z tem świetnie! Przyszła „zafalowana” karbami tak kunsztownie, że wszyscy myśleli, że chyba wykorzysta tę niezwykłą okazję i zaprowadzi kogoś do teatru. Nic podobnego. Bolcio tylko dostał 60 groszy na „Gua-delupe”, a Maniusia nie miała tego dnia nic na cztery ręce.

Lecz oto wszystko ma swój koniec na świecie!

Ciotka Antosia, która od szeregu miesięcy upodobała sobie półtorago-dzinny, Bogu ducha winny, naturalnie, spacer przed herbatą (to tylko było zapowiedziane, że zawsze sama), raz nie stawiała się na kolację. Po-tem nie przyszła jeszcze godzinę, dwie, dwie i pół...

— Mój drogi, nie bój się — o cnoty w tym wieku już się nie dobi-jają! — powiedziała tak, napozór spokojnie, spokojnie zmieniając nocną koszulę, bratowa.

— Moja kochana, ale czy to o to chodzi? Jak ty nic nie znasz męż-czyzn! Poco „to”, koniecznie zaraz „to”? Tu chodzi wogóle o kobietę, któ-



Mój drogi, nie bój się, o cnoty w tym wieku już się nie dobijają...

ra wyszła, jak zwykle w stronę Mickiewicza i nie wraca — pięć godzin! — tu niespokojny brat, który nigdy nie umiał powiedzieć tego, co właściwie miał na myśli, rzucił, ze smutnem przeczcuciem drugi but pod łóżko.

— Zresztą — to właśnie chciałem powiedzieć — o, jak ty nic nie masz serca! No powiedz, powiedz — a gdybym ja tak sobie poszedł i nie wracał?...

— Ty?... Ty nigdy jeszcze nic nie zrobiłeś bezemnie! Śpij! W Imię Ojca i Syna — no, jest nareszcie, coś to za nieznośna baba!!

Do stołowego, skradając się poomacku między stołem i krzesłami, weszła na palcach ciotka Antosia. Po raz pierwszy może, odkąd żyła, położyła się spać niemyta, cicho szemrzając przez chwilę jedną, drugą i trzecią spódniczka...

Maniusia, niezdolna uczennica, ale sprytna w każdej innej bardziej życiowej potrzebie, śpiąca również w stołowym między kredensem a etażerką w cieniu rozłożystych liści — przysięgała się następnego ranka na geografji Polski, że widziała ciotkę (ciotkę znała już z opowiadań cała pensja), jak klęczała ze złożonymi rękami w koszuli nocnej tak surowej, że prawie śmiertelnej — i kajała się... „Co? Jak wy myślicie, co ona mogła zrobić takiego?“... Cały ten dzień był już poprostu stracony dla klasy. Nikt nie był zdolny ani myśleć, ani odpowiadać, ani podpowiadać — bo co też mogła zrobić „taka“ ciotka Antosia? Pensja naogół była dosyć pomysłowa i z bujną wyobraźnią, ale osoby ciotki Antosi nie można było poprostu wpłytywać w jakiekolwiek dwuznaczne sytuacje, jakie tylko znała, teoretycznie, pensja Maniusi Biedozdomskiej.

Do śniadania nazajutrz ciotka usiadła już zupełnie umyta i ubrana, a tak świeża i wesoła, że nie wytrzymała przecież pani Biedozdomska:

— Kochana Antosiu, nie wyspałaś się prawdopodobnie?...

— Przeciwnie, droga bratusiowo, była to jedna z najmilszych moich nocy: krótka, a taka doniosła...

W tem miejscu właśnie, bodaj, że najciekawszem w jej dotychczasowem życiu, Maniusia, rozdzierana ciekawością na ćwierci, musiała jednakże wybiec na pensję z powodu zapowiedzianej klasówki z geometrii, poczem zaraz będzie geografja, w czasie której opowie wszystko, co widziała w nocy.

— Może ci nalać jeszcze trochę kawy? Więc, co to właściwie zaszło?... — Bratową ogarnął nagle szal ciekawości i nalewałaby jej bez końca.

Bolcio przymknął religję, którą powtarzał między jednym rogalikiem a drugim i nadstawił uszu...

— Moi drodzy, jakkolwiek miło tu u was i dobrze, bardzo nawet dobrze, a przecież wiem, że i wam ze mną (tu brat spojrział błagalnie na żonę, która spuściła powieki...) — jednak opuszczę was w tych dniach... Sądję, że was to bardzo nie zdziwi: wychodzę zamaż...

Rzadko kiedy bywało tak cicho w tym domu. Poprostu słyszało się w tej chwili, jak się wykluwa najmłodszy „listek żelazny“ koło kredensu i słychać, jak kropla po kropli cieknie stale zepsuty kran w kuchni...

Lecz któż, jak nie mężczyzna, ocknie się i opamięta pierwszy:

— Powiedz mi — kto to taki? — Zdawało się, że pana Biedozdomskiego nadobre coś dusiło w gardle, ale to był kołnierzyk.

— Jeden pan... pan Banany...

Ciotka była rozbrajająca... „Fale“ jeszcze się nie rozpuściły, zachowując małą, siwiejącą główkę w jakimś zupełnie nowoczesnym stylu i niktby nie pomyślał, że może się tam gnieździć cały rój przesądów, prowincjonalizmów, przesady. Bawiła się w tej chwili „codzienną“ ły-



Momo, a może ja dzisiaj nie pójde do szkoły...

żeczka od kawy, obracając ją od niechcenia w białych, czystych paluszkach z uśmiechem takiej niewinności, że chociaż pani Biedozdomskiej, jak soliter do gardła, wciskał się okrzyk: „Bój się Boga, ile ty masz lat?!“ — nic nie wyrzekła. Patrzała na nią szerokimi oczami, ustami i milczała.

Wyjątkowe w tych czasach dziecko, Bolcio, także się jeszcze nie odezwał.

— Moja Antosiu — to przecież nie są żarty — brat znowu przerywa napięcie, które przy tej kawie staje się wprost nie do zniesienia — Bolciu, mój drogi, idąc do szkoły, zatelefonuj od fryzjera, że ja się trochę spóźnię. — Musimy pomówić poważnie... hm., kochana Antosiu — nie jesteś przecież dzieckiem! Biedny brat. Dusi go chyba naprawdę. Jest czerwony i załawiony. Wsadził palec pomiędzy szyję i kołnierzyk, patrzy na żonę i szuka, szuka słów...

— O, nie, Karolku — naturalnie, że nie...

Ciotko! Jesteś uroczą, jesteś przemiłą i jakgdyby teraz dopiero stałaś się kobietą! W tej chwili, mając przechyloną filuternie główkę i trochę smutny uśmieszek, ciotka bawi się już dwiema łyżeczkami naraz i patrzy na nie tak, jakby widziała tam kogoś, czy coś — więcej niż resztki po oksydowaniu...

— Dobrze — więc chodźmy porozmawiać spokojnie. Chodźmy do sypialnego, prawda Karolu? — Bratowej drży głos nutą powstrzymywanego szlochu i myśl płacze się od kilku minut natrętnie koło jednego i tego samego: stracić Antosię! Stracić taką Antosię! Ależ ona tu była wszystkim! To moja prawa ręka! Taką Antosię...

I właśnie przechodzą we troje w poważnem skupieniu do sypialnego, kiedy Bolcio podskakuje do mamy:

— Mamo, a może ja dzisiaj nie pójde do szkoły?...

— Zwarjowałeś? Dlaczego? Mnie i tak głowa pęka od tego wszystkiego. Zresztą ojciec kazał ci iść do telefonu, więc musisz iść do szkoły!

Ciotka Antosia miała być jeszcze tylko trzy dni. Ze zdwojoną energią prasowała teraz sztywne, staroświeckie czepeczki, cerowała (mój Boże, już po raz ostatni!) cienkie pończoszki Maniusi, szyła „na dobrą pamięć“ kuchenny fartuch dla Heleny (która jej niecierpiała) i robiła dzieśię tysięcy drobnych grzeczności i przysług z radością i uśmiechem.

Ach, jak dobrze jest żyć na świecie! I ciotka po tysiącrotnie przeżywa w swoim dla wszystkich niedostępnem zacisku serca — swoje szczęście... Pan Banany! Kochany, drogi pan Banany! Pan, który zaczął ją nieśmiało kochać, jako podlotka, a potem już coraz śmieiej, jako pannę, pannę i pannę... Dlaczego Antosi nie pozwolili wyjść zamaż, to tajemnica nieboszczyka ojca, ale właściwie, to słyszała raz najstarsza siostra, jak powiedział do swego przyjaciela, że ten „Banan“, to skończony warjat, bo mu, powiada, zaciasno w kraju i on, żeby tam nie wiem co, pojedzie do Ameryki. A ja mojej Antosi, którą ziemia lubelska ojczysta wykarmiła, póki żyję, zamorskiemu djabłu nie dam! Umart, i nie dał. A młody znikł...

Aż tu, kiedyś — oh, nigdy tego nie zapomni — nie dochodząc do Mickiewicza, spotkali się, i on poznał...

Pojadą — mówił głosem trochę przerywanym, bo miał astmę — daleko, bardzo daleko, bo do samej gorącej Argentyny. Wesóły, pełen



Ślub był jaknajskromniejszy...

słońca, zupełnie inny kraj! Pan Banany ma tam duży, biały, bardzo piękny dom. Wszystko tam jest — prócz szczęścia... i dopiero teraz...

I ciotka jeszcze i jeszcze raz wraca do najdroższych wspomnień...

Właśnie wtedy, kiedy to się tak strasznie spóźniła — na rogu Foksal i Nowego Światu, pan Banany wyrzucił z siebie nagle i po argentyńsku, te niezapomniane słowa:

— Więc kochamy się, moja mała staruszko — tak?

A ciotka Antosia, która już mówiła i o podróży i o domu, i o stołowym pokoju, o hollu, o ogrodzie i o wielkiej wspaniałej, kaflowej kuchni — teraz nagle zmuszona była oprzeć się z całych sił o czerwony przystanek tramwajowy na tle banalnej, czekoladowej reklamy. Schylił się, aby dosłyszeć cichutkie, zawstydzone, rzucone między dzwonki tramwajowe, sygnały samochodów i brutalny zgiełk ulicy — „tak”...

Przed bramą domu, kiedy dozorca już przekręcał klucz w zamku, powiedział znowu tak wesoło i głośno:

— I zostajesz moją żoną?!

— Tak, tak — szepce ciotka, nerwowo wyszukując drobnych w ridiculu.

Ma właściwie trochę żalu do niego, że takie ważne, takie święte, takie najserdeczniejsze umowy między nimi stają się na przystankach tramwajowych i pod bramami... Nie powiedziała jednak nic. Urodzona była do miłości pokornej, zresztą — człowiek, który przyjechał z Argentyny, inny zupełnie człowiek, jakich widywała dotychczas w sklepach, w elektrowni i na skromnym preferansie raz na miesiąc u brata — taki człowiek wszystko musi robić najlepiej!

Ślub był jak najskromniejszy. Ciotka Antosia roztoczyła tu przed ołtarzem niezapomniany urok czystej, prawdziwej miłości. Oblubieńcowi także przebaczone jego mądra, siwą głowę. Ale nie obyło się i bez zwykłych uwag:

— Jak sobie pościelesz, tak się i wyśpisz, moja pani — szepnęła, żegnając się nabożnie, sąsiadka ze schodów do Heleny.

— Ho, ho — a jaką ona ma pościel! Nie jeden by na to poleciał!

Tuż przed ołtarzem pani Biedozdomska troszczyła się do ucha mężowi:

— Co to tak długo trwa? Zobaczysz, że się z tą pieczenią skompromitujemy — nikt jej tyle czasu nie podlewał!

W tym samym czasie Maniusia szczypała sześć swoich najlepszych koleżanek, które zgodnie tego ranka zachorowały na „nagłą niedyspozycję” i nie poszły do szkoły. Obok Bolcio obliczał wartość marek otrzymanych z Argentyny.

Wszyscy, cała rodzina, aby jak najtaniej (panią Biedozdorską aż bolało w dołku od tego widoku, jak pan Banany trwoni pieniądze i nie dała wynająć więcej samochodów), wsiedli do ogromnego otwartego auta, wynajętego na równe półtorej godziny. Objechali w weselnym nastroju świeżo wymiecione Aleje Ujazdowskie, zjechali gdzieś daleko (Bóg wie po co, kiedy zanim Helena wróci z kościoła, to pieczeń się napewno spali!) na dół w pola i wreszcie wracali do domu.

Przejeżdżając koło Bristolu, pan Banany kazał szoferowi stanąć:

— Trzy minutki, sleeping już zamówiony, moja mała żonko, ale jeszcze wpadnę po informację. Trzy minutki...

— Panie kochany, tylko, he, he, rzeczywiście prędko, bo to jeszcze tylko równo dziesięć minut tego dobrego... — i pan Biedozdomski poklepał auto dyskretnie po boku.

— Tak, tak, mój złociutki, bo tam ta cielęc...

— Mama to też! Raz jest taka okazja, żeby posiedzieć w samochodzie i zaraz — prędko!

— Głupi jesteś! — upomniała siostra ledwie widocznym dla oka kuksańcem — i tak już tylko dziesięć minut, a jak się obiad nie uda, to przyjemnie będzie potem przed ciotką? Ostatni obiad — pomyśl! Sam krem, żebyś wiedział, ile nas kosztował!

Stali. Benzyna spalała się wyjątkowo smrodliwie i przestano wogóle na chwilę mówić, bo siwy ogonek gazu, podwiany wiatrem z tyłu naleciał na biały kapelusz ciotki Antosi, bukiet pachnących ponad wszystko azalii i na nowe palto Maniusi.

Upłynęło równo sześć minut, a pan Banany nie wracał.

Małżonka siedziała uśmiechnięta, wpatrzona w drzwi i spokojna, bratowej, całej przeniesionej myślą do gorącego pieca w kuchni, wykwiwały dwa sino-czerwone wypieki, brat utkwiał tępy wzrok w zegar na ulicy, dzieci rozmawiały nieśmiało, szofera nie obchodzi wogóle nic.

Jeszcze dwie minuty...

Nagle od drzwi biura podróży podbiega wystraszony chłopak:

— Tego pana „tknęło” — ani zipie!

Ciotka wysunęła się naprzód bielsza od najbielszej azalii...

— Umarł mój mąż?!

— Ciociu! Ciociu!

W wynajętym samochodzie wszystko runęło ku zemdlonej. W trakcie tego szofer ruszył sam w stronę domu. Kiedy i jak to się stało, nikt nie zauważył. Nagle maszyna zatrzymała się tuż przy trotuarze na jakiejś ulicy.

— Półtorej godziny — i otworzył drzwiczki.

— Co? Pan zwarjował?

— Nie, ale już nie mam benzyny.

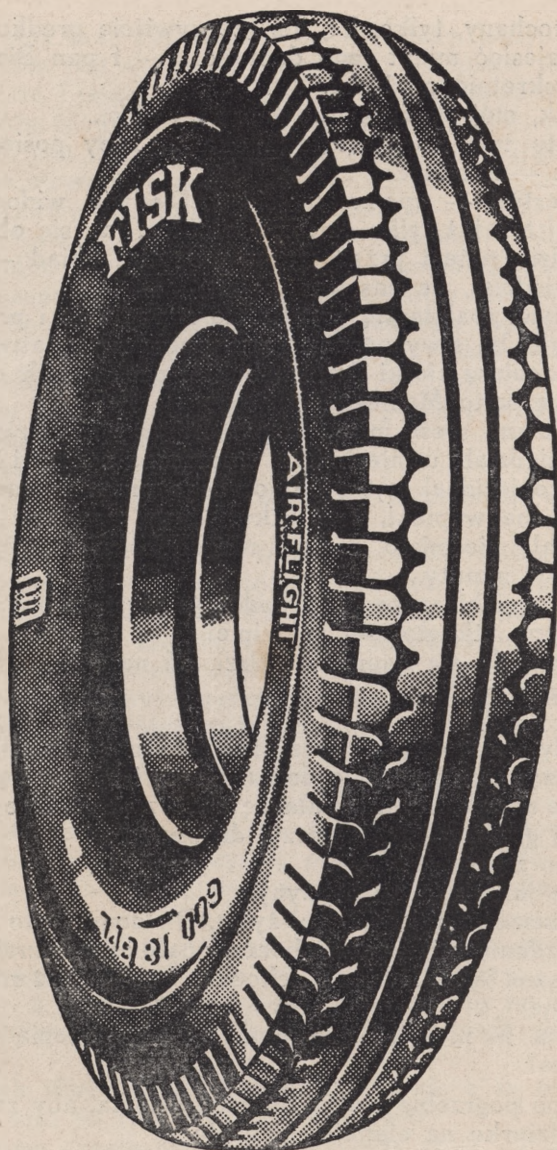
Ciotkę wytaszczonego z auta pół-żywą. Do domu było dwa kroki.

Pani Biedozdomska i Manusia beczwały cały czas bezradnie. Bolcio pobiegł do domu sam, jak warjat. Na schodach czekała już rozgorączkowana Helena, krzycząc:

— Chyba ja tu nie jestem winna, ale z pieczenia już po wszystkim — spalona!

Nazajutrz po pogrzebie ciotka od rana usiadła, aby zacerować ostatnią pozostałą dziurkę na cienkiej bieliźnie.

Powrotna fala zalała świetny los ciotki Banany...



FISK
AIR FLIGHT



ROZRYWKI UMYŚLOWE

VI TURNIEJ ZADANIOWY

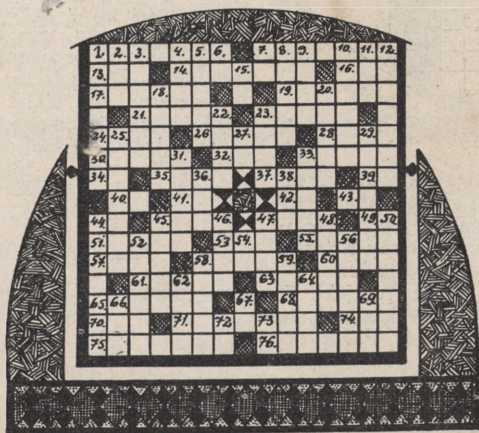
11. KRZYŻÓWKA.

(Za rozwiązanie 4 punkty).

Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Listwa do ram. 7. Zasada bezwzględna. 13. Air, góra w Saharze. 14. Prawo żydowskie nakazujące bratu poślubić wdowę po bracie zmarłym bezpotomnie. 16. I ten, i ten! (Liczebnik). 17. Sannie podhalańskie, t. zw. gnatki. 19. Tkanina gładka i gęsta, barwy żółtawej, podobna do perkalu. 21. Ludowa uroczystość wiosenna (w l. mn.). 23. Kalia, kwiat. 24. Część płn-wsch. Abisynji, Afar. 26. Ozdobny ubiór kapłański. 28. „Pocisk” karabinowy (w l. mn.). 30. Wiszący świecznik wieloramienny. 32. Pierwiastek metaliczny. 33. Osten, wschód. 34. Miara powierzchni. 35. Rodzaj wyścigu, oaks (wyścig klaczy trzyletnich w Epsom). 37. Inka, tytuł starożytnych władców Peruwji. 39. Dopisek do listu pod podpisem. 40. Skrót używanych w receptach ew. nuta. 41. Nuta. 42. Litera (fonetycznie). 43. Zaimek względny. 44. Posiada! 45. Osoba lub przedmiot nietykalne, jako świętość. 47. Zwierzę racicowe z rodziny owiec. 49. Bózek egipski. 51. Dobry duch, posłaniec bōży. 53. Ger, szczyt w Pirenejach. 55. Promieniotwórczy pierwiastek chemiczny. 57. Piękny werniks chiński. 58. Mieszkaniec równin w gwarze śląskiej, t. zw. dolak. 60. Angielska pani (fon.). 61. Gwiazdosz, roślina z rodzaju złożonych. 63. Poszukuje, dociekam... 65. Gartok, stolica Tybetu zach. 68. Ozdobne tkaniny. 70. Sufiks. 71. Stołek. 74. Honorowy tytuł w Hiszpanji. 75. Arachne (postać mitologiczna). 76. Alabama, rzeka w St. Zjedn.

Am. Płn., wpadająca do zatoki Meksykańskiej.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Bagala, statek arabski. 2. Ain, prawy dopływ Rodanu. 3. Gragas. 4. Futro z tchórze. 5. Imię słynnej japońskiej śpiewaczki operowej. 6. Inicjały Aurelii Wyleżyńskiej (autorki „Niespodzianek”). 7. Miara powierzchni. 8. Dawny powiat w Węgrzech, lub Kroacji pod zarządem bana. 9. Gatunek żelaza. 10. Zamknięcie fabryki i wydalenie strajkujących. 11. Ubi. 12. Termin trygonometryczny. 15. Znak chemiczny. 18. Przecierano! 20. Ondyna, rusalka w mitologii germańskiej. 22. Posłanniczka bogów. 23. Sędzia u Turków. 25. Taniec włoski — Furlana. 27. Znaczek zastępujący nie wymienione nazwisko. 29. Zająco-królik. 31. Imię męskie. 33. Herb polski. 36. Dorozka, powozik. 38. „Nowo” w wyrazach złożonych. 44. Silna gorączka z majaczeniem. 45. Wzniesienie zdrowia podczas uczty. 46. Odlóg. 47. Skorupiak morski. 48. Zwinęte pasmo nici, jedwabiu i t. p. (wspak). 50. Ciecz oleista, otrzymywana z benzolu. 52. Wymarzona kraina szczęścia. 54. Spółgłoska (fon.). 56. Bogini sprawiedli-



wości w mitologii greckiej. 58. Płd. część Indji — Dekan. 59. Podziemny drut telefoniczny. 62. Bóg egipski Toth. 64. Oznaczenie dnia, czasu. 66. Lewy dopływ Renu — *malum necessarium każdej prawie krzyżówki*. 67. Kamień dźwięczący Yu, z którego chińczycy robią instrumenty muzyczne. 69. Kom! 72. Fe! brzydko! 73. Jak 49 poziomo.

Uwaga! Powyższe zadanie, napozór „niesłychanie” trudne, zawiera w *znaczeniach wy-*

razów szereg ukrytych ułatwień, które pozwalają rozwiązać „krzyżówkę” prawie-że na kolanie. A więc — uważać!...

Kazimierz Łukasiewicz

12. ZADANIE JUBILEUSZOWE.

(Za rozwiązanie 10 punktów).



W figurze na grzbiecie książki rozmieścić niżej podane trójgłoski w ten sposób, aby rzędy poziome utworzyły dwadzieścia pięć sześcioliterowych nazwisk poetów i pisarzy różnych narodowości w następującym porządku.

1. Literat włoski. 2. Poeta rosyjski. 3. Poeta holenderski. 4. Poeta słowacki. 5. Poeta niemiecki. 6. Pisarz francuski. 7. Poeta indyjski. 8. Literat ruskim. 9. Poeta szwedzki. 10. Poeta śląski. 11. Poeta angielski. 12. Pisarz łotewski. 13. Pisarz polski. 14. Poeta litewski. 15. Pisarz amerykański. 16. Pisarz hiszpański. 17. Poeta duński. 18. Pisarz węgierski. 19. Poeta arabski. 20. Poeta polski. 21. Poeta hebrajski. 22. Poeta polski. 23. Pisarz norweski. 24. Pisarz turecki. 25. Poeta perski.

Litery w krótkach oznaczonych góry do dołu, dadzą rozwiązanie.

Trójgłoski: ami, amp, arr, dar, dos, duc, ebo, ely, fra, iri, jac, kai, kat, kra, len, mes, nep, ner, niz, nko, obi, oga, oje, ola, ona, opp, per, rew, rga, rot, rys, sah, sis, ska, skę, sun, teg, tti, tti, ves, vos, win.

Misław

13. A GRAM.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Znaleźć wyraz oznaczający pierwszorzędą potęgę duchową człowieka. Dodając na początku tego wyrazu coraz inną głoskę otrzymamy szereg wyrazów, których znaczenie określone jest niżej. Niektóre wyrazy podane są w drugim przypadku liczby mnogiej, co oznaczono G. Pl. (genitivus pluralis).

Znaczenie wyrazów: 1. Gatunek wina. 2. Tytuł rodziny. 3. Ryba. 4. Trunek. 5. Kopuła kościelna. 6. Zniszczenie. 7. Lina (G. Pl.). 8. Pycha (G. Pl.). 9. Substancja roślinna (G. Pl.). 10. Zwierzę drapieżne (G. Pl.). 11. Wyraz powątpiewania. 12. Przesztwór.

Antoni Lange (†)

14. PERMUTACYJKA RYSUNKOWA.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Należy odgadnąć trzynaście obrazków na rysunku podanym na końcu działu. Wszystkie wyrazy (które mają wspólną literę początkową) należy rozmieścić odśrodkowo w figurze środkowej. Następnie w każdym wyrazie zmienić środkową literę w ten sposób, by powstało trzynaście nowych słów. Litery środkowe (pozmieniane) dadzą rozwiązanie.

Gwidon Miklaszewski

15. SZARADKA.

(Za rozwiązanie 1 punkt).

Pierwszą zwykle wymieniamy
Tam gdzie głosy przyciszamy,
Druga — trzecia jest bezcenna
Jeśli dobra i zbawienna.
Pierwsza — druga barwa stała —
Ani czarna, ani biała.
Całość — zdar, przestawiane
I w układzie ymowane.

Br. Coshade (California)

16. FIGIELEK REBUSOWY.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

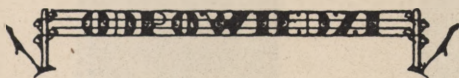


Z powyższego rysunku odczytać sezonową namiętność wielu smakoszków.

Jerzy Łopatto

Warunki uczestniczenia w VI Turnieju Zadaniowym ogłosiliśmy w nr. 69 (styczeń 1930) „Naokoło Świata”. Termin nadsyłania rozwiązań z bieżącego numeru upływa 11 sierpnia 1930, przyczem obowiązuje data stempla pocztowego.

Rozwiązania należy nadsyłać w pełnym brzmieniu, łącznie z wyrazami pomocniczymi. Najestetyczniejsze rozwiązania rysunkowe i najładniejsze rozwiązanie wierszowane zostaną nagrodzone i zamieszczone na łamach działu.



(276). Baranowicz F. — Konin. Larum bezcelowe, bo — jak Pan pewnie zdążył stwierdzić — p. Marcelina Sembrich nie pozbawiła Pana nawet jednego punktu. Poza tem miarodajność wspomnianej przez Pana encyklopedji jest wystarczająco chwiejna w wielu wypadkach, by zaglądać jednym okiem do... innej, kompetentniejszej!

(277). Pyska W. — Przemyśl. Pisze Pan — „...upłynęło więcej jak trzy miesiące, nagrody jeszcze nie otrzymałem! Czyżby szanowna Redakcja zażądała, abym wystosował osobne podanie na całym arkuszu ministerjalnego papieru i posłał to jeszcze jako polecenie?” Nie, Szanowny Panie! Szanowna Redakcja żąda tylko dokładnego adresu, którego Pan notorycznie nie podaje, oraz zgody na wyznaczoną nagrodę (ew. życzenie zamiany), co zostało przez Pana wyrażone nader dotkliwie.

(278). Zawadzki S. — Warszawa. Tego błędu nie zauważyliśmy, jak zresztą wielu rozwiązyjących, którzy ze spisu liter nie korzystają. Rozwiązanie w porządku!

(279). Menzel J. — Łódź. Zaległą nagrodę wysłamy po rozstrzygnięciu V Turnieju, które nastąpi w sierpniowym zeszycie, żądane bowiem tomiki są wyczerpane z kompletu dyspozycyjnego kierownictwa działu, a uzu-

pełnienie nastąpi właśnie w sierpniu b. r. Przepraszamy za zwłokę i prosimy o cierpliwość.

(280—281). Psarska Z. — Borysław, Stasiakowa J. — Grabki. Za nadesłany materiał dziękujemy bardzo; pójdzie niedługo — ani się opatrzyć!

(282). Łukasiewicz K. — Lwów. „Wirówkę” zatrzymujemy, ale... nie jednemu skóra ścierpie!

(283 — 284). Prejzner K. — Częstochowa, Kalinowski K. — Kielce. Odpowiedzieliśmy listownie.

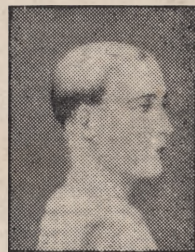
(285). „Niezadowolony” — Warszawa. Na to, by wszystkim dogodzić — nie stać nas, do czego się zresztą lojalnie przyznajemy. Ale Pańskie zarządzenia są wyjątkowo złośliwe! Czy Pan nie cierpi na konstypację?...

(286). Z. Bianka — Lwów. Nie jest to przypadkiem, że właśnie lwowianka świeci przykładem radości i zrozumienia pracy, jaką się kultuwuje na słabo urodzajnej glebie, to też mimo paru gorzkich, na słodko podanych, uwag, serdecznie dziękujemy za wyjątkowy list. Rozwiązania, jak na początek, zadawałniające; zadanie — nie zupełnie... Za to humor — wyśmienity!...

J. K.



JAK MOŻNA



Szumny podpis pod pięknym obrazkiem niewiele mówi, a rzadko kiedy kogo przekonano o dobroci jakiegokolwiek preparatu. Powyższe ryciny demonstrują osiągnięte wyniki zabiegami Silvikrinem zastosowane przez lekarzy: **Silvikrin pomaga.**

200 razy powiększone



1. Cystyna według Hefftera jest pseudotlenkiem (materia fermentująca) o podpadalaco wysokiej zawartości organicznie związanej siarki. Przy paleniu włosów wytwarza osobliwy zapach.

200 razy powiększone



2. Tyrosyna jest według Burowa ważnym składnikiem odżywczym dla tkanki wytwarzającej włosy.

200 razy powiększone



3. Tryptophan jest według Hopkinsa nadzwyczaj wartościowym składnikiem w sensie biologicznym dla tworzenia kości.

Powyższe powiększone ryciny przedstawiają materiały strukturalne włosów i stanowią ponieważ jego szkielet. Głównie z tych materiałów wytwarzają cebulki włosowe nasze uwłosienie.

Ciekawe własności Cystyny (rycina 1) stały się obiektem gruntownych badań poważnych uczonych, gdyż Cystyna oddziałuje fermentująco, czyli podnieca, pędzi, buduje.

Tyrosyna (rycina 2-ga) jest dla porostu włosów ważnym składnikiem odżywiającym i tak samo koniecznym, jak Tryptophan (rycina 3-cia), o którym laureat nagrody Nobla, biochemik Sir Frederic Hopkins mówi, że bez Tryptophanu tworzenie komórek jest niemożliwe. Ponieważ włos powstaje przez tworzenie komórek, zawartość Tryptophanu przy poroście włosów jest niezbędna.

Wszelkie wyżej wymienione materiały strukturalne włosów zawarte są tylko w „Silvikrin-kuracji-włosów” w komplecie (D. R. P.). Odnosnie siły działania „Silvikrin-kuracji-włosów w komplecie” należy uwzględnić następujące rzeczy:

a) Zachodzi tylko osłabienie cebulek włosowych, natomiast skóra głowy nie wykazuje żadnych zmian.

Osłabienie cebulek włosowych następuje zwykle po ciężkich chorobach, jak grypie i t. p. Zastosowanie w tym wypadku „Silvikrin-kuracji włosów w komplecie” usunęło osłabienie cebulek w krótkim czasie, aczkolwiek — jak o tem donoszono — głowa już wytłuszczała i wszelkie poprzednio używane środki były bezskuteczne. Osłabienie samych cebulek włosowych można więc zwalczać szybko i skutecznie Silvikrinem. Wiele ciekawsze są wyniki w wypadkach podanych pod b) i to dlatego, że dostęp do nich jest o wiele trudniejszy i niestety stanowią główną przyczynę łysienia.

b) Zły stan skóry głowy i słabość cebulek są przyczyną niedomagań przy poroście włosów w przeważnych wypadkach.

PRZEKONAĆ?



Na podstawie tego zdania apelujemy nie tylko do oka, **lecz także do rozumu**
i dlatego też prosimy przeczytać uważnie następujące wiersze.
Wypadanie włosów, łysina i materiały strukturalne włosa

Oslabienie cebulek włosowych jest w tych wypadkach skutkiem coraz głębiej wnikających się zmian skóry. Uwydatnia to się na skórze głowy początkowo przez tworzenie się łupieżu, nadmierne wydzielanie się tłuszczu i częste swędzenie. Wypadanie włosów nie jest podpadające, włos staje się coraz cieńszy i krótszy, aż w końcu pozostaje zaledwie widzialny puszek na łysinie.

Równocześnie z tworzeniem się łupieżu rogowacieje skóra głowy (hyperkeratoza). Dotknięci tą dolegliwością używali z reguły różnych środków, a że im nie pomagały, przestali w końcu ich używać. A dlaczego im nie pomagały? Ponieważ cebulki takiej skóry głowy na wiele środków wogóle nie reagują. Recepty naszych pradziadów zapewne nie dorosły tym trudnym zadaniom. W tych wypadkach zgodnie z wiedzą należy wpięrow oczyścić skórę, przygotować ją jak glebę w sensie fizjologiczno-kosmetycznym. Cystyna (obraz 1-szy) działa tu doskonale jako środek przeciw rogowaceniu, gdyż zawarta w niej siarka staje się natychmiast czynną na skórze głowy (tak zwany status nascendi) (stopień 1) i stopniowo pobudza cebulki do dawniejszej siły produkcyjnej (stopień 2). Dlatego też stopniowe działanie „Silvikrin-kuracji-włosów w komplecie” jest rozstrzygające, tak, że nawet Prof. uniwersytetu Dr. med. Polland mówi o „Silvikrin-kuracji-włosów w komplecie” jako wartościowo decydującej. Z tych krótkich wywodów odniosą Sz. Czytelnicy wrażenie, że „Silvikrin-kuracja-włosów w komplecie” jest wynikiem nadzwyczajnej pracy i badań naukowych. Zanim P. P. wydacie pieniądze prosimy zgłosić się wpięrow do nas. Wyślemy natychmiast bezpłatnie broszurę p. t. „Wypadanie i regeneracja włosów”, oraz ciekawe orzeczenia o działaniu Silvikrinu. Do przesyłki dołączamy jeszcze małą paczkę Silvikrin-Shampooonu. Silvikrin-Shampooon zawiera również materiał strukturalny włosa. Poniższy kupon prosimy wypełnić i nam przesłać

KUPON PRZESYŁKI BEZPŁATNEJ.

Wysłać w kopercie zaopatrzonej w znaczek pocztowy do:
SILVIKRIN-VERTRIEB, Gdansk 620, Böttchergasse 23/27.

Proszę mi przesłać bezpłatnie i franko:

1. Próbkę Silvikrin-Shampooonu,
2. Książkę „Wypadanie i regeneracja włosów”.
3. Doniesienia o skuteczności Silvikrinu.

Nazwisko.....

miejsowość

poczta..... ul. i L. domu.....

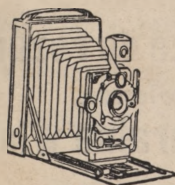
UZNANA W CAŁEJ POLSCE ZA NAJLEPSZĄ HERBATĄ z „KOPERNIKIEM”

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE MIESZANEK №№: 190, 100 i 23

SKŁAD GŁÓWNY WARSZAWA BRACKA 23, FILJA MONIUSZKI 3

WARSZ.TOW. HANDLU HERBATĄ A.DŁUGOKECKI, W.WRZESNIEWSKI

SP. AKC.



ERNEST NEUMANN

WARSZAWA, Tel. 54-96 MAZOWIECKA 6

KAŻDY MOŻE FOTOGRAFOWAĆ!

Aparaty w cenach: Zł. 33.—, 45.—, 55.—, 76.—, 98.—, 107.—, 125.— i wyżej. Ceny fabryczne. Przesyłka pocztą.

Wywoływanie i kopjowanie klisz szybko i starannie.

Solidność i fachowość, które stworzyły dobre imię naszej firmy, egzystującej przeszło ćwierć wieku, dają rękojmię dobrego kupna.

Cenniki i objaśnienia na żądanie.

CO WAS CZEKA W ROKU 1930?

Czego możecie się spodziewać w roku 1930 w Waszych sprawach zawodowych, w podróżach, loterjach, chorobach i t. d.?

Skoro chcecie się dowiedzieć, prześlijcie jedynie datę urodzenia, oraz zwrot kosztów (znaczkę pocztową), a prześlemy Wam **wysoce interesujące próbné orzeczenie gratis**. Prosimy adresować: **Univer-sum — Verlag Abt. 108, Berlin N. W. 7**. Listy dziękczynne z całego świata.

Czerwoność skóry

... rąk i twarzy usuwa niezawodnie śnieżno-biały krem Leodor, który nadaje cerze matowy odcień, tak charakterystyczny u pięknych i wytwornych pań. Specjalną zaletą tego kremu jest również to, że nadaje się równocześnie jako doskonały podkład pod puder. Perfuma *kremu Leodor* przypomina zapach świeżo zerwanego bukietu fiołków, róż, bzu i konwii!!! Ulubione te zapachy są w cudownej harm... zawarte w *kremie Leodor*.

Do nabycia w perfumerjach i drogerjach.

Za darmo

podam każdej pani bardzo skuteczny środek przeciw

upławom

Za szybki skutek pozostanie mi każda pani wdzięczną. **A. Gebauer, Stettin, 64. A. Friedrich - Eberstr. 105 (Niemcy)**. Dołączyć na portorja.